



Anne Eames
**Ślub starych
przyjaciół**

Tytuł oryginału
A Marriage Made in Joeville

*Tłumaczyła
Maja Gottesman*

PROLOG

- Dużo mi z tego przyszło, że tak się ceniłam, co? - mruknęła Savanna, wrzucając do walizki kolejną parę dżinsów. - Tyle lat czekałam na tego jedyne, a teraz ktoś sprząta mi go sprzed nosa.

Jenny oparła się o framugę drzwi i założyła ręce na pierśsiach.

- Pociesz się tym, że jeszcze nie rozesłano ślubnych zaproszeń.

Savanna przerwała pakowanie i usiadła po turecku na owalnym dywaniku.

- Mógł mi powiedzieć, że jest w jego życiu ktoś inny.

- Twierdziłaś, iż wcale nie jesteś pewna, że to ten twój jedyny - zauważyła Jenny. - O co ci właściwie chodzi?

Savanna poczuła, że się rumieni. Zrobiło jej się głupio, więc szybko spuściła głowę.

- Bo to nie ja go rzuciłam, tylko on mnie.

Choć była już dorosłą i bardzo atrakcyjną kobietą, wciąż czuła się małą, grubą i niezgrabną dziewczynką.

- Przyjmijmy więc fakt, że to ty podjęłaś decyzję, a on ją tylko wprowadził w życie - zaproponowała Jenny i podeszła do przyjaciółki. - I chyba dobrze się stało, co?

Savanna podniosła głowę i spojrzała na Jenny.

- Jak zwykle masz rację - przyznała.

- No, wstawaj, malutka. - Jenny wyciągnęła rękę i po-

mogła przyjaciółce się podnieść. - Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. To było ponad miesiąc temu.

Jenny objęła Savannę i posadziła ją na kanapie. Przez chwilę siedziały w milczeniu.

- Powiedz mi, Jen, czy byłaś kiedyś szaleńczo zakochana? No wiesz, tak żeby mdleć w obecności ukochanego i w ogóle.

- Nie - odparła po chwili namysłu Jenny.

- Nigdy?

- Czułam czasami do kogoś pociąg fizyczny, ale chyba nie o to ci chodzi.

- Chyba jestem niepoprawną romantyczką, ale wciąż czekam na tego właściwego faceta. Szkoda tylko, że mu się jakoś do mnie nie spieszy. Na miłość boską, przecież zaraz stuknie mi trzydziestka, a ciągle jeszcze jestem dziewicą! Wciąż słyszę mądre słowa mojej matki: „Organ nie używany ulega zanikowi”.

- No tak, z twoją matką trudno dyskutować - prychnęła Jenny. - A właśnie, gdzie ona teraz się podziewa?

- Moja matka nie ma tu nic do rzeczy - odparła Savanna.

Zawsze odruchowo broniła swojej niezwyklej rodzicielki, chociaż Jenny miała prawo do nie najlepszej opinii o kobiecie, która zaraz po śmierci męża bez wahania porzuciła swoją nastoletnią córkę. Przedtem jeszcze zdążyła podjąć z banku wszystkie rodzinne oszczędności.

- Nie gniewaj się. Nie powinnam rozdrapywać starych ran. - Jenny poklepała Savannę po kolanie i z uśmiechem skierowała rozmowę na inny temat. - Postaraj się spojrzeć na swoją sytuację z innej strony. Czeka cię podróż do Montany i spotkanie z dawną miłością.

Savanna spojrzała na wypchaną ubraniami walizkę. Nie była pewna, czy podjęła właściwą decyzję.

Jenny spojrzała na nią podejrzliwie.

- Nie wyglądasz na przekonaną. Zastanówmy się nad tym jeszcze raz. Znamy się od siedmiu lat i za każdym razem, kiedy zrywasz z jakimś facetem, wracamy do rozmowy o tym samym człowieku, zgadza się?

Savanna obronnym gestem przytuliła do siebie poduszkę.

- No, powiedz na głos jego nazwisko - ponagliła ją Jenny.

- Malone. Ryder Malone - szepnęła wreszcie Savanna, a jej serce zaczęło szybciej bić. Niesamowite! Minęło dwaście lat, odkąd Ryder wyjechał z Detroit, a ona wciąż nie potrafiła o nim zapomnieć. - Ale musisz pamiętać, moja droga, że byliśmy tylko przyjaciółmi. Czas nie stoi w miejscu. Dobrze, jeśli w ogóle mnie sobie przypomni - westchnęła.

- Możesz być pewna, że tak. Ale podejrzewam, że nie w tym problem. - Jenny przysunęła się i objęła przyjaciółkę.

- Boisz się, że już go wcale nie obchodzisz.

- Miła jesteś.

- Przecież wiesz, że dobrze ci życzę.

Savanna nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Wiem, wiem! Wracajmy do pakowania. No i czeka nas jeszcze strzyżenie i farbowanie. Do roboty, przyjaciółko. To ty mnie do tego wszystkiego namówiłaś. Należy mi się jakaś pomoc z twojej strony.

Jenny posłusznie wstała, ale wyraźnie posmutniała. W jej oczach pojawiły się nawet łzy.

- Co się stało? Co ja takiego powiedziałam? - zaniepokoiła się Savanna.

- Wiem, że tak musi być. Naprawdę powinnaś pojechać do Montany, podjąć tę pracę, spróbować znów zbliżyć się do Rydera. Ale... ale to mieszkanie bez ciebie będzie takie puste.

- Przecież wyjeżdżam tylko na lato, może nawet na krócej.
- Nie - przerwała jej zdecydowanie Jenny. - Ty już nigdy tu nie wrócisz.

To proste stwierdzenie zaskoczyło Savannę. Nie usłyszane słowa, ale pewność, z jaką zostały wypowiedziane. Znała Jenny na tyle długo, by wiedzieć, że przyjaciółka w takich sprawach rzadko się myli. Swoją niezwykłą intuicję Jenny tłumaczyła tym, że w jej żyłach płynie domieszka indiańskiej krwi.

- Przecież możesz przenieść się do Joeville razem ze mną - powiedziała Savanna, choć sama nie wierzyła we własne słowa.

Ona też z bólem myślała o rozstaniu. Jenny była dla niej kimś więcej niż przyjaciółką. Była siostrą, której Savanna nigdy nie miała, powierniczką, a nawet osobistym jasnowidzem. Nawet jeśli z Ryderem wszystko dobrze się ułoży, w co zresztą Savanna wątpiła, trudno będzie znaleźć kogoś, kto choć w części potrafiłby zastąpić jej Jenny.

- Ha! - prychnęła Jenny. - Wyobrażasz sobie mnie w Montanie? Wśród tych wszystkich Indian i kowbojów?

Owszem, wyobrażała to sobie. Savanna zdawała sobie jednak sprawę z intencji przyjaciółki. Dobrze znała pogardę, z jaką Jenny mówiła o Indianach. Wciąż nie potrafiła wybaczyć ojcu, który porzucił ją w dzieciństwie. Swoją niechęć do niego przeniosła z czasem na wszystkich Indian i bardzo bolała nad swoim pochodzeniem. Oczywiście Savanna była jedyną osobą, która o tym wszystkim wiedziała.

W poszukiwaniu jakiegoś neutralnego, a w każdym razie mniej bolesnego tematu, Jenny zdjęła z półki gruby tom w brązowo-złotej oprawie.

- No, no, co my tu mamy! - mruknęła i uśmiechnęła się złośliwie. - Rocznik 1985.

- O, nie. Proszę - próbowała zaprotestować Savanna.

Jenny szybko znalazła właściwą stronę i aż krzyknęła z przerażenia.

- A więc to dlatego nigdy mi tego nie pokazałaś! Wcale ci się nie dziwię.

- Niezły widok, co?

Savanna z niesmakiem spojrzała na dawną siebie. Aparat ortodontyczny, włosy sięgające ramion i co najmniej dwadzieścia kilo nadwagi.

- Szkoda, że nie nosisz szkieł kontaktowych - stwierdziła Jenny, patrząc uważnie na zdjęcie. - Zmieniłybyśmy ten niewinny błękit na drapieżną zieleń. Ale nie bój się, trochę pracy i pan Ryder Malone na pewno cię nie pozna. - Odstawiła książkę na półkę i dłońmi odsunęła do tyłu włosy Savanny. - Tak. Trzeba będzie trochęje skrócić, przyciemnić i to powinno cię zmienić.

- No to do roboty, póki się jeszcze nie rozmyśliłam.

Przyjaciółki spojrzały na siebie, parsknęły nerwowym śmiechem i poszturchując się, ruszyły do łazienki. Postanowiły udawać, że zapomniały o czekającym je rozstaniu.

Savanna zdjęła sweter, usiadła na sedesie i narzuciła na ramiona ręcznik.

- No to jak robimy? Idziemy na całość? - spytała, patrząc na króciutkie, asymetrycznie ostrzyżone kruczoczarne włosy przyjaciółki. - Wiesz, chciałabym mieć taką fryzurkę jak ty.

- Jesteś pewna?

- Tak, byle szybko.

Pół godziny później Jenny z dumą przyjrzała się swemu dziełu. Savanna natychmiast zapomniała o pupie obolałej od siedzenia na twardej, plastikowej klapie i nieznośnie swędzącej szyi, pokrytej mnóstwem drobnych, kłujących włosków.

- Mogę zobaczyć? - spytała niecierpliwie.

- Spokojnie, koleżanko, spokojnie. - Jenny włożyła jednorazowe rękawiczki i zaczęła w miseczce rozrabiać farbę.
- Teraz nałożymy ci to świństwo i skończymy pakowanie. Prezentacja za dwadzieścia pięć minut.

Szybko wyciągnęła przyjaciółkę z łazienki, nie pozwalając jej zerknąć w lustro.

- Spójrzmy, co też ty ze sobą zabierasz - powiedziała, patrząc na stertę ubrań piętrzącą się na łóżku w sypialni.

- To, co zawsze noszę. W czym problem?
- No właśnie, może pora na zmianę stylu.
- Nie stać mnie na nową garderobę.
- Wiem, ale mogłabyś wziąć coś z moich rzeczy.
- Przecież są o numer za małe!
- Właśnie.

Savanna spojrzała na obszerne swetrzyska i szerokie flanelowe koszule. Lubiła rzeczy luźne i wygodne. Ukrywały biust, w jej opinii zbyt duży i nie pasujący do szczupłej sylwetki.

- Chyba nie chcesz...

- Oczywiście, że chcę. Twój Ryder nigdy się nie domyśli, że kobieta w takich obcisłych i wydekoltowanych bluzkach to jego stara znajoma, Savanna Smith.

Kiedy Jenny poszła po obiecane stroje, Savanna szybko otworzyła pamiętkową księgę z roku 1985 i odszukała zdjęcie Rydera.

Jej serce natychmiast zabiło szybciej. Czy ta mistyfikacja to dobry pomysł? Owszem, Savanna chciała, by Ryder jej nie poznał, dopóki... dopóki. No, właśnie. Ten dzień może przecież nigdy nie nadejść. Najpierw powinna zobaczyć, jakim Ryder stał się człowiekiem, czy jest choć trochę podobny do tego ideału, jakim był w jej marzeniach. I chciała, żeby przekonał się, jaką ona stała się kobietą.

No tak, ale czy to uczciwe? Wiedziała, że niezupełnie, ale był to jedyny sposób, jaki przyszedł jej do głowy. Poza tym... cel uświęca środki.

Poprzez dawnych znajomych udało jej się dowiedzieć, gdzie mieszka Ryder. A przypadek sprawił, że na tym samym ranchu szukali kogoś do pracy. Wiedziała także, że nie jest żonaty. Ale jeśli jest z kimś związany?

Savanna z trzaskiem zamknęła album. Nie chciała o tym myśleć.

Na szczęście w tej samej chwili wróciła do pokoju roześmiana od ucha do ucha Jenny i wcisnęła jej w ręce pokazną stertę swoich ubrań.

- Dzięki. - Savanna z rezygnacją przyjęła prezent. - Niektóre z nich może nawet kiedyś włożę.

Zabrały się do pakowania, napełniając kolejne walizki bielizną, piżamami i butami. Savanna wciąż jednak wracała myślami do tego, co ją czeka.

- Jenny, czy ty naprawdę wierzysz, że nadaję się na kucharkę? Przez całe życie byłam przecież tylko sekretarką w idiotycznej wytwórni opon.

- Skąd po tylu latach bez mrugnięcia okiem cię wylano. Zre-sztą wraz z setką innych. Nie myślisz, że to kolejny znak od losu?

Dla Savanny był to, oczywiście, czysty przypadek. Nigdy nie lubiła swojej pracy i nawet ostatnio zaczęła rozglądać się za czymś nowym.

- Wątpię.

- Podstawowe potrawy potrafisz ugotować, a resztę znajdziesz w tej książce, którą ci dałam. W razie katastrofy zawsze możesz do mnie zadzwonić. - Jenny spojrzała na zegarek. - A teraz idziemy do łazienki.

Nawet nie patrząc w lustro, Savanna nachyliła się nad wanną i szybko spłukała farbę.

Nie miała wątpliwości, że to najgłupszy pomysł w jej życiu. Nowa fryzura, nowe miejsce zamieszkania i praca, o której miała raczej mgliste pojęcie. Skrzywiła się i gwałtownie zakręciła kurek.

Jenny, ze szczotką i suszarką w ręku, już na nią czekała.

- No, niech ci będzie! Oddaję się w twoje ręce.

Jenny była w swoim żywiole. Kręciła się jak fryga między łazienką a pokojem, przynosiła coraz to nowe tusze, lakiery i pudry.

Na koniec przyniosła obcisłą, króciutką pomarańczową bluzeczkę i bardzo dopasowane, obcięte nad kolanami dżin-sy. Dopiero kiedy Savanna posłusznie, choć nie bez trudu, włożyła to na siebie, Jenny pozwoliła jej spojrzeć w lustro.

- O Boże! - jęknęła zaskoczona i wyraźnie przerażona Savanna. - Wyglądam jak bezwstydną dziwka!

Jenny przez chwilę przyglądała się odbiciu przyjaciółki, potem obróciła ją ku sobie i położyła jej ręce na ramionach.

- Savanno Elizabeth Smith! Wyglądasz super!

- Ale chyba trochę zbyt wyzywająco? - Savanna jeszcze raz przez ramię zerknęła w lustro.

- Owszem, ale przecież wybierasz się do Montany. Kowbojom takie właśnie kobiety podobają się najbardziej.

- Kiedyś chyba nawet słyszałam o tym piosenkę - przyznała z nerwowym chichotem Savanna.

- A więc się odpręż. Wszystko będzie dobrze. Ryder Malone może o tym jeszcze nie wie, ale los zastawił na niego pułapkę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nad ośnieżonymi szczytami gór wstawał świt. Ryder Malone wysiadł z auta i napawał się znajomym widokiem, wciągając do płuc ostre, świeże powietrze.

Wiosna w Montanie. Czas nadziei i snucia planów na przyszłość. Będąc cynikiem, Ryder z politowaniem traktował ludzi, którzy wygłaszali tego rodzaju bzdury. On sam nie wierzył w żadną cudowną odmianę losu. Nie spodziewał się niczego od życia, które ostatnio nie gładkało go po głowie. Po prostu przetrwał kolejną zimę i tyle.

Musiał jednak przyznać, że powrót w rodzinne strony, pod dach człowieka, którego winił za swój ponury los, bardzo wytrącił go z równowagi.

Podszedł na skraj skalnego urwiska i patrzył na rozciągające się w dole ranczo. Dom. To słowo powoli traciło swój sens. Ryder nie mieszkał tu już od wielu lat. Najpierw były studia, a potem osiem lat pracy setki kilometrów stąd. Mimo to coś go tu ciągnęło i tylko tutaj czuł się naprawdę u siebie.

Po kolejnej bezsennej nocy na twardej sofie Maddy bolały go wszystkie kości. Przeciagnał się i głośno ziewnął. Pasące się tuż obok stadko jeleni nawet nie zwróciło na niego uwagi. Myśli Rydera powędrowały ku Maddy i Billy'emu. Przed oczami stanął mu piegowaty, szczerbaty chłopczyk, a wraz z tym wspomnieniem napłynęła fala bólu. Gdyby tak można było cofnąć czas!

Ryder potrząsnął głową i odsunął od siebie ponure myśli.

Wiedział, że długo jeszcze te wspomnienia będą tkwiły bolesną zadną w jego sercu. Spojrzał na ogromną, drewnianą bramę, zwieńczoną wyraźnym napisem: „Malone'owie”. Dalej stał duży, zbudowany z surowych bali dom z piętrową przybudówką. Mieszkała w niej Hanna, ich gospodyni, Joshua, młodszy brat Rydera, i on sam. Był tam także pokój dla Shane'a, ale ten wolał mieszkać w małej, drewnianej chatce z Czarnym Krukiem, zatrudnionym na farmie Indianinem, który od małego uczył go wszystkiego o koniach. Gdyby było tam więcej miejsca, Ryder z przyjemnością też by się tam wprowadził. Natomiast ich ojciec zajmował oddzielne skrzydło domu.

Na widok wydobywającego się z komina dymu Ryder uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Pewnie wszyscy już siedzą przy stole. Jeśli się pośpieszy, śniadanie będzie jeszcze gorące. Pośpiech był jednak ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę w ten cudowny poranek. Wolał patrzeć na ciepłe, wiosenne słońce, wschodzące nad jego ulubionymi, bliźniaczymi szczytami. Ten widok nigdy mu się nie nudził. W dzieciństwie, tak smutnym dla wszystkich trzech synów Maksa Malone'a, był dla niego jedyną pociechą, jedyną rzeczą stałą i pewną. Wciąż pamiętał, ile bólu sprawiał im wtedy ojciec - nie tyle słowami, ile swoją obojętnością.

I nie tylko.

Dziś Ryder był już dorosłym mężczyzną, a ojciec starym człowiekiem. Może już czas, by zapomnieć o dawnych urazach. Zresztą to nie ojciec był przyczyną powrotu Rydera do domu. Skłonił go do tego list od Shane'a. Brat pisał w nim, że Joshua chce wkrótce zająć się własną farmą, a skoro Ryder ma odziedziczyć jedną trzecią rancza Malone'ów, to najwyższy czas, by zajął się rodzinnym interesem. Z braćmi zawsze

łączyły go dobre stosunki, ale lata rozłąki sprawiły, że nie byli już sobie zbyt bliscy. Może i tu pora na zmiany.

Ryder przysiadł na skraju przepaści. W pewnej chwili na drodze wiodącej ku domowi zauważył poruszający się tuman kurzu. Gość o tak wczesnej porze? W poniedziałek? Wkrótce jednak myślami wrócił do braci, a później do Billy'ego. Jak zwykle.

- To już ostatnia porcja - mruknęła Hanna, stawiając na stole talerz z gorącymi naleśnikami. - Nie mam zamiaru stać tu do wieczora i wam usługiwać. Robota czeka. - Z bocznego stolika wzięła dzbanek i po kolei dołąła wszystkim kawy. - A, nawiasem mówiąc, jeśli szybko nie załatwicie mi kogoś do pomocy, któregoś dnia wyzionę tu ducha.

- Daj spokój, Hanno. - Max wytarł usta serwetką i spojrzał na gospodynię najsurowiej, jak umiał. Jednak Hanna pracowała u niego od czterdziestu lat i stała się pełnoprawnym członkiem rodziny. - Mówiłem ci przecież, że dziś rano przyjedzie pewna młoda kobieta do pomocy. - Spojrzał na zegarek, którego wskazówki wskazywały piątą czterdzieści pięć. - Lada chwila powinna tu być.

- Młoda kobieta? - Joshua uniósł brwi.

- W każdym razie tak brzmiał jej głos przez telefon.

- Max uśmiechnął się do swego najmłodszego syna.

- Dla ciebie każdy brzmi młodo - zauważył Shane, wymieniając z bratem porozumiewawcze spojrzenia.

- Uspokójcie się, chłopcy. Przecież to bez znaczenia - wtrąciła się Hanna. - Ona ma pomagać mi w kuchni, a nie was zabawiać.

Max przyglądał się swym synom. Jeden miał lat trzydzieści dwa, drugi dwadzieścia pięć lat, z trudem więc można by ich nazwać chłopcami. Wiedział jednak, że dla Hanny na

zawsze pozostaną dziećmi. Kiedy jego wzrok padł na puste krzesło, Max zmarszczył brwi. Czemu jednak jego średni syn wciąż zachowuje się jak dziecko? Gdzie się tym razem podziewa? A raczej - z kim?

- Może to ona. - Słyszając warkot silnika, Hanna podeszła do okna. - Wyjdę zobaczyć.

- Nie - zdecydowanie powstrzymał ją Max. - Tym razem ja się tym zajmę.

Hanna posłusznie została na miejscu.

- Ty? - spytała jednak. - A co ty wiesz o gotowaniu?

- Nic a nic! Za to wiem, jak zatrudnić kogoś, kto się na tym zna. - Nie chciał wcale być taki ostry, złagodził więc swoje słowa ciepłym uśmiechem. Pamiętał jednak, że Hanna pogoniła już co najmniej sześć kandydatek i nie mógł pozwolić, by zrobiła to samo z siódmą. - Pozwolisz, że ja się tym zajmę?

- Mhm. - Hanna obróciła się na pięcie i, bynajmniej nie przekonana, wyszła do kuchni.

Shane i Joshua omal nie skręcili sobie szyi, starając się dojrzeć się, lecz Max gestem dłoni kazał im wrócić do jedzenia. Także ich pomoc była mu niepotrzebna. Ignorując protesty synów, dokładnie zaniknął za sobą drzwi do jadalni.

Kiedy auto zaparkowało na wysypanym korą podejździe i wysiadła z niego kandydatka na pomoc kuchenną, Max ciężko westchnął i wzniósł oczy do nieba. Była młoda, jak podejrzewał wcześniej, i bardzo ładna. Za ładna, by zamieszkać w domu, w którym było trzech młodych mężczyzn. No i ta prawie nie istniejąca spódniczka... Hanna na pewno urwie mu głowę, jeśli Max zatrudni tę dziewczynę. Ale nie miał wyjścia. Wiedział, że stara gospodyni naprawdę z każdym dniem traci siły.

Zszedł ze schodków na powitanie przyjezdnej. Jej ciepły,

szczerzy uśmiech uznał za dobry znak. W tych stronach pogodny charakter był bardzo w cenie. Jeśli jeszcze okaże się, że dziewczyna potrafi sklecić choć dwa sensowne słowa, Max był gotów natychmiast ją zatrudnić.

Savanna nerwowym ruchem obciągnęła idiotyczną spódnicę, którą pożyczyła jej Jenny, a potem przywołała na twarz najbardziej promienny uśmiech, na jaki ją było stać. Podeszła do mężczyzny, który, jak się domyśliła, był Maksem Malone'em - tym samym, z którym poprzedniego wieczora rozmawiała przez telefon. Tym samym, o którym tak wiele słyszała w czasach szkolnych. Kiedy zaś zobaczyła jego oczy - oczy Rydera - nie miała już najmniejszych wątpliwości.

- Max Malone. - Mężczyzna wyciągnął do niej rękę. - A ty pewnie jesteś Essie.

Savanna chwyciła wielką, ale delikatną dłoń i mocno ją ucisnęła. Była wdzięczna, że mężczyzna nie patrzy na jej skąpą bluzeczkę. I jeszcze raz przekleła w duchu Jenny, która podstępem zastąpiła jej garderobę swoją - o rozmiar mniejszą i dużo bardziej wyzywającą.

- No, no, moja pani, pierwsze dwa egzaminy zdałaś na piątkę - zaśmiał się serdecznie Max. - Znalazłaś nasz dom i zdażyłaś przed szóstą.

Savanna wołała mu nie mówić, że wyjechała z motelu o wpół do piątej i że dobrą godzinę błądziła po okolicy. W końcu zjawiła się na czas i tylko to się liczyło.

- I w dodatku przywiozłam list z referencjami, o którym wczoraj wspomniałam. Mam nadzieję, że jeden wystarczy.

Pan Malone spojrzął przez ramię na dom.

- Czy możemy najpierw porozmawiać na dworze? - spytał. - Taki dziś piękny dzień, a ja zdecydowanie za dużo czasu spędzam w gabinecie.

- W gabinecie?

- Jestem lekarzem. Mam kilku pacjentów, których przyjmuję na tyłach domu. Ale to nie oni zajmują mi najwięcej czasu, lecz te przekłete papierki.

Savanna ze zrozumieniem kiwnęła głową, a Malone wziął do ręki list i wskazał jej miejsce na starej, zniszczonej wiatrem i deszczem ławce.

- S... E... Smith - rzekł na głos, czytając nagłówek. - A skąd wzięła się Essie?

Podczas gdy pan Malone czytał dalej wyprodukowany przez Jenny list, Savanna miała czas na zebranie myśli. Wcale mu nie mówiła, że ma na imię Essie. Musiał ją tak zrozumieć, kiedy przez telefon podawała mu swoje inicjały. Essie. Essie Smith. Niech więc tak zostanie.

- Tak mówiono do mnie w domu - powiedziała. - Nie lubiłam tego, ale z czasem się przyzwyczaiłam.

- Pewnie to S oznacza coś jeszcze gorszego? - zaśmiał się. Nawet jego śmiech był podobny do śmiechu Rydera.

- Owszem. Wie pan, te rodzinne, tradycyjne imiona są takie... staroświeckie.

- A gdzie mieszkasz, moja droga?

- No... ja... nie jestem stąd. - Essie spodziewała się tego pytania. Postanowiła nie wspominać ani słowem o Michigan. Bała się, że Malone'owie mogliby zacząć wypytywać ją o jakichś znajomych. - Na razie zatrzymałam się w motelu „Pod Wielkim Dziobem”. Potem zamierzam poszukać czegoś bliżej.

- „Pod Wielkim Dziobem”? To kawał drogi stąd. Myślałaś może o jakiejś pracy z zamieszkaniem?

Essie parsknęła śmiechem.

- Nie zauważyłam tu w okolicy żadnych apartamentowców do wynajęcia. - W ogóle niewiele zauważyła. - Tak,

owszem. Jeśli ktoś będzie miał dość miejsca i zechce mnie zatrudnić.

Max wstał.

- No, cóż, Essie, z tego listu wynika, że umiesz gotować, a my pilnie potrzebujemy kogoś do pomocy. Chcę być jednak wobec ciebie uczciwy i zanim podejmiesz ostateczną decyzję, powinnaś poznać całą naszą bandę. Może zjesz z nami śniadanie? Na pewno coś jeszcze zostało.

Tak po prostu! Dostała tę pracę! Tego właśnie chciała, ale teraz, kiedy przyszła pora, by wejść do środka i poznać „całą bandę”, jak to określił Max, nie była w stanie przełknąć śliny. Czy Ryder ją rozpozna? Czy jej podstęp od razu wyjdzie na jaw? Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Dziękuję. Chętnie. Wezmę tylko torebkę.

Ruszyła wyspaną korą ścieżką w stronę swojego auta. Nagle zauważyła zbliżającą się w jej stronę chmurę kurzu. Towarzyszył jej warkot silnika, a kierowca najwyraźniej nie miał zamiaru zwolnić. Z piskiem opon zahamował zaledwie kilka centymetrów od zderzaka jej samochodu.

Kierowcą okazał się wysoki mężczyzna w kapeluszu i ciemnych okularach. Z pewnym siebie uśmiechem spojrzał na Essie.

- No, no, a to co takiego?

- Może nasza nowa kucharka - odezwał się Max Malone.

- O ile jeszcze jej nie wypłoszyłeś.

Essie złożyła ręce na piersiach - po pierwsze dlatego, że nie spodobało jej się bezceremonialne zachowanie szalonego kierowcy, a po drugie - bo zauważyła, że jego spojrzenie skierowane jest wprost na jej biust. Kowboj zdjął kapelusz i strzepnął z niego kurz. Jedną ręką przeczesał włosy, drugą zdjął okulary.

Ujrawszy tak dobrze znaną twarz, Essie poczuła, że drżą jej kolana.

- Pani wybacz - mruknął przybysz. - Zostało jeszcze coś do jedzenia? - zwrócił się do Maksa.

- Niedawno jeszcze coś było - odparł stary Malone. - Essie, to mój syn, Ryder. Wybacz jego maniery, a raczej ich brak.

W oczach obu mężczyzn było tyle wzajemnej niechęci, że Essie poczuła się zakłopotana. Zrobiło jej się też bardzo smutno. Miała nadzieję, że stosunki między ojcem i synem stały się z biegiem lat co najmniej poprawne.

Ryder bez słowa skierował się ku domowi.

- Idziesz, Essie? - Max podał jej ramię.

Po tym, co zobaczyła, chyba powinna natychmiast wracać do Michigan. Zadra, jaką nosił w sercu Ryder, najwyraźniej nie zniknęła. Stała się chyba jeszcze bardziej bolesna. Max jednak czekał na nią z pełnym nadziei uśmiechem, a ona przecież była bez śniadania. A więc dobrze. Zje i potem zniknie.

Na zawsze.

Max posadził Essie przy dużym stole, a sam zajął miejsce u jego szczytu, jak na głowę rodziny przystało.

Jeszcze bardziej niż natarczywe spojrzenia obecnych mężczyzn zaniepokoiła ją ilość jedzenia na stole: jajka, bekon, grzanki, naleśniki, owsianka, słodkie bułeczki i świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Ten widok tylko utwierdził ją w podjętym przed chwilą postanowieniu. Ranczo panów Malone to nie miejsce dla niej. Ci faceci zasługują na prawdziwą kucharkę. A jej nawet w ciągu całego miesiąca nigdy nie zdarzyło się ugotować takiej ilości jedzenia.

- Essie, poznaj moich pozostałych dwóch synów - rzekł z uśmiechem Max. - To Shane, najstarszy. A obok niego Joshua. Ten z kolei jest najmłodszy.

Pierwszy zareagował Joshua.

- Miło cię poznać, Essie. - Wstał ze swego miejsca i wziął z blatu dzbanek z kawą. - Mogę ci nalać?

- Tak, bardzo proszę. - Przynajmniej jeden z nich jest dobrze wychowany, pomyślała z goryczą.

Shane przyglądał jej się w milczeniu. Miała wrażenie, że już wyrobił sobie o niej opinię i nie zamierzał strzępić języka po próżnicy.

Rydera przy stole nie było. Powiedział, że najpierw chce wziąć prysznic i przebrać się. Domyśliła się, że spędził noc poza domem. Kiedy w końcu się zjawił, już odświeżony, usiadł na krześle obok Essie.

Zesztywniała. Nie musiała na niego patrzeć, by czuć jego bliskość. Bała się poruszyć, by przypadkiem go nie dotknąć.

- Proszę - rzekł Max, podając jej talerz z wędlinami. - Jeśli będzie ci mało, Hanna coś jeszcze przygotowuje.

Hanna? A więc Malonowie mają już kucharkę? Może więc Essie jako pomoc dałaby sobie radę? Nie, nie powinna tu zostać. Przecież zaraz po śniadaniu postanowiła się pożegnać.

- Nie, dziękuję. To wystarczy. - Essie nałożyła sobie kilka plasterków kiełbasy.

Ryder bez słowa zrzucił na jej talerz grzanekę. By się nie udławić, szybko wypića duży łyk kawy.

- E, o co chodzi? Nie smakują panience moje grzanki?

Essie drgnęła gwałtownie. Nawet nie zauważyła, kiedy do pokoju weszła starsza, postawna kobieta.

- Nnnie. To znaczy... Czekałam tylko, aż ktoś poda mi galaretkę - skłamała.

- Galaretkę! - Hanna aż krzyknęła z oburzeniem. - To nie jest galaretką! Pół dnia spędziłam, żeby usmażyć te konfitury, moja panno. Konfitury, powtarzam.

- Przestań, Hanno! Zupełnie jakbym słyszał jakąś kretyńską reklamę. - Max skarcił ją wzrokiem. - Pozwól, to jest Essie Smith.

Hanna podeszła bliżej i krytycznie przyjrzała się gościowi. Nawet nie ukrywała swej niechęci.

Essie wstała, obciągnęła spódniczkę i wyciągnęła do niej rękę.

- Miło mi cię poznać, Hanno.

Dopiero po bardzo, bardzo długiej chwili Hanna ujęła jej dłoń.

- Mogę ci pomóc w sprzątaniu ze stołu? - spytała z ulgą Essie.

- Jak chcesz. - Hanna wzruszyła ramionami i mrużąc coś pod nosem, podreptała z powrotem do kuchni.

- Nie przejmuj się naszą Hanną - łagodził sytuację Max.
- Tak naprawdę to dobra dusza, zobaczysz.

Nie mam najmniejszego zamiaru poznawać tej kobiety, odpowiedziała mu w duchu Essie i zaczęła zbierać puste talerze.

- Nie jesteś już głodna? Naczynia mogą poczekać.

Max ze swym serdecznym uśmiechem wydawał się dobrym i życzliwym człowiekiem. Ale dlaczego nie potrafił pomóc Ryderowi w czasach, kiedy syn najbardziej go potrzebował?

- Dziękuję, już się najadłam - skłamała Essie.

Prawda była taka, że w ciasnych ubraniach Jenny trudno jej było oddychać, nie mówiąc już o jedzeniu. Dopiero teraz zrozumiała, czemu przyjaciółka tak nalegała, by rzeczy, które jej pożyczyła, włożyć do dwóch różnych pudeł. Ciekawe tylko, kiedy udało jej się dokonać zamiany paczek?

Essie spojrzała na twarze siedzących przy stole. Shane nie spuszczał z niej wzroku. Czyżby usiłował czytać w jej myślach?

Tak, jego trudno będzie nabrać.

Ta myśl ją zaskoczyła. Oznaczała bowiem, że podświadomie zamierzała zostać na ranczu. A właściwie to czemu nie? Warto spróbować, choćby po to, żeby zaspokoić ciekawość. Jacy naprawdę są panowie Malone? I z czego wynikało dość obcesowe zachowanie Rydera? Pomyśleć tylko, że porównywała z nim każdego poznanego mężczyznę! Jak mogła tak bardzo się mylić?

Zbierając dalej naczynia, unikała spojrzenia na Rydera. Miała wrażenie, że jej obecność jest mu całkowicie obojętna. Jeśli nie liczyć tego rzutu grzanką, właściwie zupełnie ją ignorował. Za to Joshua cały czas się do niej miło uśmiechał.

Dwie twarze przyjazne, jedna trudna do rozszyfrowania, jedna niechętna oraz szorstka starsza pani, która w głębi duszy na pewno jest dobra i serdeczna.

Essie zaniósła do kuchni kolejną porcję talerzy. Po drodze podjęła ostateczną decyzję. Zostanie tu i postara się jak najlepiej wykorzystać ten pobyt. Przyjechała do Montany, by przyjrzeć się Ryderowi Malone'owi. Pierwsze złe wrażenie nie dawało odpowiedzi na wszystkie pytania i wątpliwości, jakie dręczyły ją w związku z tym mężczyzną. Czemu był taki zgorzkniały i zamknięty w sobie?

Essie przystanęła przy oknie i spojrzała na dwa śnieżno-białe szczyty, połyskujące w porannym słońcu. Jak można być nieszczęśliwym w takim raju, pomyślała.

Bojąc się, że za chwilę zmieni zdanie, szybko wróciła do jadalni i stanęła przed Maksem.

- Jeśli oferta nadal jest aktualna, to chętnie z niej skorzystam - powiedziała.

Na twarzy mężczyzny najpierw pojawiło się zdziwienie i zaskoczenie, potem rozświetlił ją uśmiech.

- Bardzo się cieszę, Essie - rzekł i ujął obie jej dłonie.

- Chciałabyś może zobaczyć swój pokój? Bo przypuszczam, że zechcesz zamieszkać z nami, prawda?

Essie jeszcze raz spojrzała na siedzących przy stole. Twarz Shane'a niczego nie wyrażała. Joshua wyglądał tak, jakby ktoś przed chwilą ofiarował mu od dawna wymarzony prezent. Ryder zaś ani na chwilę nie przerwał jedzenia i nic nie wskazywało na to, że ją rozpoznał.

- Tak. - Essie wyprostowała ramiona i uśmiechnęła się do Maksa. - Z przyjemnością tutaj zamieszkam.

Max westchnął z ulgą i poklepał ją po ramieniu.

- Cieszę się, Essie. Chodź, oprowadzę cię po domu.

Co się ze mną dzieje, zastanawiała się Essie, kiedy rozstała się już z Maksym i szła do swojego auta. W Detroit wykłócała się o każdego centa podwyżki. Tutaj przyjęła posadę, nie pytając nawet o pensję i zakres obowiązków. Nie interesował jej też pokój, w którym miała zamieszkać.

Idąc wysypaną korą ścieżką, pocieszała się, że mimo wszystko postąpiła słusznie. Pokój okazał się przytulnym małym mieszkankiem, składającym się z sypialni, saloniku z kominkiem i oddzielnej łazienki. Oznaczało to, że pensja będzie zapewne niższa niż ta, do której przywykła, ale po co jej na tym odludziu pieniądze?

Jej wzrok znów powędrował w stronę górujących nad okolicą szczytów.

- Podobają ci się?

Pytanie to zadał jej Ryder, przykucnięty obok ręcznie wyrzeźbionej tablicy, umieszczonej na końcu ścieżki. Patrzył na Essie, ale nie przerywał starannego polerowania starego drewna.

- Owszem.

Essie podeszła bliżej i głośno odczytała częściowo zatarty napis:

- Joeville, Montana, 1876. - Nie miała szczególnej ochoty na rozmowę, ale dobre wychowanie wzięło górę. - Skąd taka nazwa?

Ryder przez chwilę przyglądał jej się uważnie, potem wrócił do polerowania tablicy.

- Mój pradziad miał na imię Joe. Osiedlił się tu i założył to ranczo.

- Czy nadal grywasz w piłkę? - spytała nagle Essie, przeklinając w duchu swą nieostrożność. - Albo w coś innego? - dodała szybko.

- Skąd wiesz, że grywałem w piłkę? - spytał podejrzliwie Ryder.

Essie schyliła się, podniosła z ziemi jakiś kamyczek i wrzuciła go do stawu. Potrzebowała trochę czasu, by uspokoić bijące gwałtownie serce.

- Widziałam gablotę z pucharami w gabinecie twojego ojca - odparła najswobodniej, jak tylko potrafiła. - Widzisz, jaka jestem inteligentna?

Ryder wstał i otrząsał z kurzu kolana. Na szczęście nie patrzył na nią, pochłonięty własnymi myślami.

- Puchary? Tak, ojciec chętnie je zbierał. Nigdy go z nami nie było, więc tyle mu zostało.

Przezeszał palcami włosy, włożył na głowę kapelusz i odszedł w stronę swego pikapa.

A niech to jasna cholera! Essie wcale nie zamierzała budzić uspionego demona. Nie miała jednak pojęcia, że mieszkając tyle lat pod jednym dachem, ojciec i syn wciąż nie potrafili przebaczyć sobie starych uraz.

- Wygląda na to, że będziemy się często widywać. O, właśnie! Zapomniałem, jak się nazywasz? - Ryder stał już obok swego auta.

Essie spojrzała mu prosto w oczy. Albo naprawdę jej nie poznawał, albo bawił się z nią jak kot z myszą.

- Essie - odparła. - Essie Smith.

Nazwisko wymówiła szczególnie wyraźnie. Jeśli nawet wydało mu się znajome, nie dał tego po sobie poznać.

- A więc do zobaczenia, Essie - mruknął i usiadł za kierownicą.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Ryder z piskiem opon ruszył z parkingu przed Purpurowym Pałacem. We wstecznym lusterku patrzył na spowity w kurzu budynek i martwił się o Billy'ego. Owszem, najbliższe miesiące dla nikogo nie będą łatwe, ale wiedział, że zrobi wszystko, by chłopak cierpiał jak najmniej. Miał już pewien plan, który mógłby pomóc małemu.

Wjeżdżając na ranczo Malone'ów, odsunął od siebie ten problem i skupił się na innych sprawach. Minał już miesiąc od jego powrotu do domu, a on wciąż nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Chciał pomagać Shane'owi i Joshowi, ale działali jak idealnie zgrana drużyna, powierzając bratu jedynie drobne obowiązki. Chwilowo było mu to na rękę, bo Maddy i Billy potrzebowali go teraz bardziej niż kiedykolwiek, ale brakowało mu kołowrotu codziennych zajęć.

Na ranczu w Helenie, gdzie spędził większość swego dorosłego życia, zawsze wiedział, co ma robić. Był odpowiedzialny za bydło i konie. Pracujący tam mężczyźni słuchali jego rozkazów, a kobiety próbowały sprawić, by zapomniał o pewnej dziewczynie, którą uważał za swego jedynego przyjaciela. Owszem, kilka z nich na krótko przyciągnęło jego uwagę. Nie było to jednak nigdy nic poważnego ani trwałego.

Ryder zaparkował swego pikapa obok stajni i od razu ruszył w stronę zagrody dla koni. Nagle stanął mu przed

oczami obraz nowej kucharki. Było w niej coś znajomego. Coś w jej głosie i spojrzeniu. Dziwne, bo przecież nie była podobna do nikogo, kogo znał. Ani w Helenie, ani w Joeville.

Shane zauważył go i pomachał do niego ręką. Stojący obok stary Indianin nawet nie podniósł wzroku.

Ryder podszedł do ogrodzenia i oparł się o nie łokciami.

- Szukasz czegoś do roboty? - spytał Shane.

Jasne, czegoś, co mógłbym nazwać swoim stałym zajęciem, pomyślał. Wiedział jednak, że kiedyś odnajdzie się w tym wszystkim. To tylko kwestia czasu.

- Pewnie - rzekł na głos. - Masz coś dla mnie?

- Za kilka tygodni będziemy pędzić bydło na letnie pastwisko. Tu i ówdzie przydałoby się naprawić płot. Kilka belek całkiem już spróchniało. Albo możesz pomóc Joshowi przy kopaniu rowów irygacyjnych - dodał Shane, widząc brak entuzjazmu brata. - Maszyna ostatnio nawala.

- Najpierw pomogę Joshowi, a potem zajmę się ogrodzeniem. - Ryder zsunął kapelusz na tył głowy i spojrzał na Indianina, oprowadzającego konia po padoku. - W Billings na aukcji mają wystawiać kilka niezłych koni pociagowych. Myślałem, że mógłbym tam jutro zajrzeć. No, chyba że chcesz tam pojechać sam.

- Nie - odparł po chwili Shane. - Jedź. Jak znajdziesz coś ciekawego, to ze cztery konie by nam się przydały.

Ryder docenił zaufanie, jakim obdarzył go brat. Konie były jego pierwszą miłością - jego i Indianina. Stary szczególnie upodobał sobie tego właśnie Malone'a i tylko z nim dzielił się swą ogromną, tradycyjną dla jego szczepu wiedzą. W dzieciństwie ta ich więź bardzo denerwowała Rydera. Teraz rozumiał już, że powodowała nim zazdrość, a nie złość. Indianin spełniał wobec Shane'a rolę ojca, którego im obu

tak wtedy brakowało. Tylko że to nie Ryder okazał się szczęściarzem.

Shane był o siedem lat starszy od Joshui i trzy od Rydera. Pewnie dlatego to on został na ranczu, a Ryder, wieczny buntownik, szukał szczęścia w świecie. Bezskutecznie zre-szta, jeśli nie liczyć pewnej dziewczyny, z którą tak bardzo się zaprzyjaźnił.

- No dobra! - Shane otworzył wrota wybiegu. - Nie przyszedł tu, żeby się opalać. - Już miał odejść, kiedy coś mu się przypomniało. - A co powiesz o naszej nowej kucharce, braciszku?

Ryder uśmiechnął się szelmowsko.

- Niezła, niezła.

- To akurat zauważyłem. Zauważyłem też, że nie odrywała od ciebie oczu.

- Naprawdę? - To było coś nowego. On sam wyczuwał raczej jej wrogość.

- Ale uważaj! To przecież nasza kucharka.

- Nie potrzebuję twoich ostrzeżeń. Sam dam sobie radę.

- O, w to akurat nie wątpię, braciszku.

Tym razem pakowanie zajęło Essie tylko chwilę. Oprócz dwóch walizek, z których przed noclegiem w motelu wyjęła trochę rzeczy, reszta bagażu nadal leżała w bagażniku jej pontiaca. Ponieważ były to głównie ciuchy Jenny, w ogóle nie miała ochoty ich oglądać. Na szczęście zdołała przemycić kilka własnych rzeczy - koszule nocne, bieliznę, buty i ulubioną bluzę z logo stanu Michigan.

Do tej pory udało jej się nie wspomnieć nazwy swego rodzinnego stanu. Kiedy włożyła tę bluzę, na pewno nie uniknie Pytań. Po prostu powie, że to prezent od przyjaciółki, która chodziła tam do szkoły. Co zresztą było zgodne z prawdą.

Kiedy walizki znalazły się już w bagażniku, Essie poszła do recepcji, żeby zapłacić rachunek.

- Już pani nas opuszcza? - Recepcjonista bez skrupowania odsłonił w uśmiechu swą szczerbatą szczękę.

- Znalazłam pracę w Joeville.

Essie z żalem rozejrzała się po zakurzonej wnętrzności. Choć dom na ranchu był w porównaniu z motelem luksusowy, czuła, że będzie jej brakowało tego miejsca.

- W Joeville! Mam nadzieję, że u Malone'ów, co? - Mężczyzna był wyraźnie zaniepokojony.

- Tak. Właśnie u nich. A co, jest tam jeszcze coś oprócz tego rancha?

- Tak, jest. Purpurowy Pałac. Ale tam pewnie nie chciałaby pani pracować. - Mrużąc coś pod nosem, starszynek udawał bardzo zajętego przeglądaniem poczty. - U Malone'ów na pewno poczuje się pani jak w domu.

Essie tak bardzo spieszyła się z powrotem na rancho, że szkoda jej było czasu na wypytywanie o ów tajemniczy Purpurowy Pałac.

- Niech pani jeszcze kiedyś do nas zajrzy - usłyszała już przy drzwiach.

- Na pewno zajrzę. Obiecuję - odparła i szybko wsiadła do auta.

Było jej równocześnie smutno i wesoło. Spędziła w tym motelu zaledwie dwie noce, ale dzięki starszemu panu czuła się tu znakomicie. Trzeba przyznać, że w tych okolicach ludzie byli wyjątkowo szczerzy i serdeczni. Patrzyli rozmówcy prosto w oczy i zawsze znajdowali czas na krótką pogawędkę. Jakie to niepodobne do Detroit. Owszem, tam też było Essie nieźle. Ciągły ruch i rozgardiasz bardzo współgrały z jej ówczesnym nastrojem. Ale teraz?

Z niechęcią pomyślała o korkach i smrodzie spalin. Jenny

miała rację. Essie nigdy już nie wróci do miasta. Nawet jeśli z Ryderem nic nie wyjdzie.

Tak jak podejrzewała, zanim wniosła ostatnie pudło do swego nowego mieszkania, Hanna już prawie przygotowała całą kolację.

- Miło, że wpadłaś - mruknęła pod nosem, nie przerywając siekania cebuli.

Essie udała, że nie zrozumiała aluzji.

- W czym mogłabym ci pomóc? - spytała z uśmiechem.

- Pomóc? - prawie wrzasnęła Hanna. - To twoja praca. Ja mam inne sprawy na głowie.

A więc jednak! To Essie ma być główną kucharką, a nie Hanna.

- Bardzo cię przepraszam za to... spóźnienie. Może, kiedy już skończymy przygotowywać kolację, pomogę ci w twoich zajęciach, co? - spytała z nadzieją.

- Mhm. - Hanna nadal pastwiła się nad nieszczęsną cebulą.

Nagle Essie zauważyła ogromną miskę z mielonym mięsem.

- Robisz klops? - spytała z nadzieją, że może jednak się myli. Było to jedno z niewielu dań, które potrafiła przygotować samodzielnie.

- A jak ci się wydaje?

- No tak, oczywiście.

- W porządku. Bierz się za kartofle.

Essie niepewnie rozejrzała się po kuchni.

- Są w szafce pod blatem - poinstruowała ją krótko Hanna i wrzuciła do miski posiekaną cebulę.

Essie znalazła kartofle, wybrała dwanaście dorodnych sztuk i wrzuciła je do zlewu.

- Ktoś dzisiaj nie je kolacji? - zdumiała się Hanna.

- Za mało?

Essie czuła się w tej kuchni równie nie na miejscu, jak Jenny czułaby się przed komputerem. A niech diabli wezmą pomysły jej genialnej przyjaciółki. Przecież w tej sytuacji nie ma mowy, by Essie mogła skorzystać z książki kucharskiej.

- Weź drugie tyle i może wystarczy.

Essie wrzuciła do zlewu następne dwanaście kartofli, znalazła w szufladzie obieraczkę, odkręciła kran i zabrała się do obierania

- Nie wiem, skąd pochodzisz, ale my tutaj oszczędzamy wodę - ofuknęła ją znów Hanna. - Napełnij zlew, jeśli już musisz, ale zakręć kran.

Essie spuściła głowę, by ukryć złość i zakłopotanie, ale posłusznie wykonała polecenie. Choć strasznie bała się chwili, kiedy kuchnia stanie się wyłącznie jej domeną, wołałaby, żeby ta wstrętna kobieta zajęła się innymi obowiązkami.

Czując na swych plecach świdrujące spojrzenie Hanny, zabrała się do obierania ziemniaków. Pocieszała się tylko tym, że Ryder nie jest świadkiem jej kłeski.

Ledwie sformułowała tę myśl, usłyszała skrzypienie drzwi i czyjeś ciężkie kroki na drewnianej kuchennej podłodze. Nie podnosząc głowy, modliła się, by nie był to ten, którego obecności by nie zniosła.

- Jak leci, Hanno?

Ten niski, męski głos sprawił, że żołądek Essie zamienił się w twardy głaz.

- Nogi mam jak kłody, ale to nic nowego - mruknęła Hanna.

Essie obierała ziemniaki i modliła się w duchu! Boże, błagam cię, niech on sobie pójdzie! Oszczędź mi już upokorzeń.

- A tobie jak minął dzień? - Hanna z radością podtrzymała rozmowę.

- Jak zwykle. Nic szczególnego.

- Shane mówił, że jutro wybierasz się do Billings obejrzeć konie.

- Zgadza się. Przywieźć ci coś?

Słyszając to pytanie, Essie nie mogła nie odwrócić głowy. Nie chciała, żeby Ryder robił zakupy. Pragnęła je zrobić sama.

Ryder spojrział w jej stronę i powitał ją uniesieniem kapelusza.

- Dobry wieczór, Essie. - Jego spojrzenie skupione było wyłącznie na stroju dziewczyny.

- Cześć! - mruknęła i wróciła do swego zajęcia, zła na Rydera za jego pożądlive spojrzenie i jeszcze bardziej zła na siebie, że w obecności tego mężczyzny nie potrafi zachować zimnej krwi.

- Spizarnia świeci pustkami, ale założę się, że masz coś lepszego do roboty niż zakupy - zaśmiała się Hanna. W jej głosie nie było ani cienia nagany, lecz wyłącznie pełna sympatii tolerancja.

- Zrób tylko listę, a spełnię każde twoje życzenie.

Słyszając tę wymianę zdań, Essie z trudem powstrzymała śmiech.

- Może wzięłybyś ze sobą Essie i pokazał jej Billings.

Nie! Zaprotestowała w duchu Essie. Przecież przy nim nie będzie mogła kupić różnych zupek w proszku i tego rodzaju dań.

- Jasne - zgodził się natychmiast Ryder. - Co ty na to, Essie? Siedzisz cicho jak mysz pod miotłą.

Co ja na to? Mam wrażenie, że zwariowałam. Essie odwróciła się w chwili, gdy Ryder pożerał wzrokiem jej pupę.

- Skoro masz tyle różnych spraw do załatwienia, to może powinnam pojechać sama. Wtedy nie zajmie mi to całego dnia.

Dopiero wtedy Ryder podniósł wzrok i spojrzał Essie prosto w oczy.

Hanna, zajęta wyrabianiem mięsa, nawet tego nie zauważyła.

- Nie przejmuj się. Co znaczy jeden dzień? Im szybciej tu wszystko poznasz, tym lepiej.

Essie wołała nie patrzeć na Rydera. Z udawanym zainteresowaniem przyglądała się, jak Hanna dzieli mięso na dwie części i formuje z nich klopsy.

- Masz już w końcu jakąś dziewczynę? - spytała nagle Hanna, nie przerywając roboty.

Dziewczynę? Przerażona, że zaraz się udusi, Essie odwróciła się do zlewu. Za plecami usłyszała ciężkie westchnienie Rydera.

- Czy ty kiedyś przestaniesz mnie o to męczyć? - spytał, ale w jego głosie nie było złości.

- Nie wyobrażam sobie przyjęcia urodzinowego bez dziewczyny.

- Nie wydaję ci się trochę za stary na wyprawianie urodzin?

- Kto tu jest stary, mój drogi.

- Dobrze, dobrze - zaśmiał się Ryder. - Jeśli tylko obiecasz mi, że nie będzie żadnych baloników, serpentyn ani tym podobnych głupot.

- Dobra, załatwione. Kogo chcesz zaprosić?

- Myślałam o Maddy i jej synku, Billym.

- Maddy. Maddy. Skąd ja znam to imię? W kościele chyba jej nie spotkałam. Może to jedna z tych rozwódek, co?

- Raczej wdów - odparł Ryder i szybko zmienił temat.

- Billy jest mały, ale nie będzie z nim problemu. Jest bardzo dobrze wychowany.

Nóż w ręku Essie poruszał się coraz szybciej. Co ją to właściwie obchodzi? Ryder okazał się zupełnie innym mężczyzną, niż się spodziewała. Nie ma się co łudzić! Niech więc bierze go sobie ta Maddy i cała reszta cholernej Montany. Powtarzała to w kółko, próbując zagłuszyć wewnętrzny głos, który mówił zupełnie co innego.

A niech to diabli! Dlaczego nie potrafię zapomnieć tamtego melancholijnego, młodego chłopaka, z którym przyjaźniłam się w Detroit? Czy pod tą skorupą zostało jeszcze trochę dawnej wrażliwości? Nagle Essie ogarnął niepokój. Czyżby to ta Maddy była powodem jego wygniecionego ubrania i wczorajszego późnego powrotu do domu? A Billy? Może to syn Rydera? Nie, chyba zbyttno popuściła wodze fantazji.

- No, dobra - mruknął, ziewając, Ryder, znów przypominając Essie, że poprzedniej nocy zajmował się o wiele ciekawszymi rzeczami niż sen. - Muszę wracać do roboty.

Essie usłyszała jego kroki, a potem odgłos pocałunku, który złożył na policzku Hanny.

- Wynoś się stąd - parsknęła śmiechem starsza kobieta.

- Do zobaczenia na kolacji - rzucił jeszcze Ryder i za-trzasnął za sobą drzwi.

Essie odetchnęła z ulgą. Już samo przygotowanie kolacji było dla niej ciężkim zadaniem. Obecność Rydera czyniła je jeszcze trudniejszym. Powinna wreszcie przestać o nim myśleć. A nad dziwnym skurczem żołądka i przyśpieszonym biciem serca zastanowi się później.

Kartofle były już obrane. Teraz należało je pokroić. Ale co dalej? Wiedziała, że jedynym ratunkiem jest dla niej książka kucharska. Ale ta znajdowała się na górze, w jej pokoju. Trzeba choć na chwilę pozbyć się Hanny.

- Hanno - zaczęła ostrożnie - może ja już sama skończę przygotowywać kolację. Wiem, że masz inną robotę.

Hanna włożyła klopsy do brytfanny i odwiązała fartuch.

- Dobra, panienko. Zostawiam cię samą na gospodarstwie. Chłopaki lubią jeść o szóstej.

Kiedy tylko za Hanną zamknęły się drzwi, Essie wytarła ręce i pobiegła na górę. Wróciła kilka minut później - z notatkami w ręce. Przeklinając w duchu Jenny, zabrała się do roboty.

Przy kolacji czterej mężczyźni siedzieli w milczeniu. Słuchać było tylko brzęk sztućców. Essie nalała wszystkim herbaty. Uznała, że udało jej się uniknąć kompromitacji. Pieczywo podgrzała w mikrofalówce. Z groszkiem nie miała problemu. Frytki nie były spalone. Jak na pierwszy raz, całkiem nieźle.

Zostawiła ich samych i wróciła do kuchni. Przygotowała talerze dla siebie i Hanny, potem przysiadła na krześle i zapatrzyła się w okno na ośnieżone szczyty.

Nadejście Hanny przerwało jej rozmyślenia. Kobieta bez słowa usiadła przy stole i zabrała się do jedzenia. Ona też nie odezwała się ani słowem. Essie uznała, że to pewnie taki miejscowy zwyczaj, wynik ciężkiej pracy na świeżym powietrzu.

Napełniła swój talerz i zabrała się do próbowania owoców swej pracy.

Pierwszym problemem okazały się frytki. Owszem, nie były spalone - za to zupełnie surowe w środku.

Po klopsie nie spodziewała się niczego złego, bo przecież zrobiła go Hanna. No, tak, ale za upieczenie odpowiedzialna była ona. Zjeść dała się tylko jego wierzchnia warstwa.

Bułeczki, podgrzane w mikrofalówce, na wszelki wypadek nieco dłużej, okazały się twarde jak kamień.

Jadalny był tylko groszek. Hanna wzięła nawet dokładkę.

- Groszek jest w porządku - powiedziała. - Frytki nawet niezłe, tylko powinny jeszcze z pół godziny posiedzieć w piekarniku. Biedne chłopaki, pójdą spać na głodniaka. Ale jutro wszystko będzie w porządku.

Essie poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Była Hannie bardzo wdzięczna. Obyło się bez awantury czy niemiłych komentarzy. Pod tą szorstką powłoką kryło się złote serce.

- Zrobiłaś jakiś deser?
- Nnnnie - wyjąkała Essie.
- W zamrażarce są lody, a w lodówce jagody.
- Dziękuję.

Kiedy weszła do jadalni z tacą, mężczyźni pochłonięci byli rozmową o koniach. Gdy zbierała prawie nietknięte porcje, nawet na nią nie spojrzeli.

Już przy drzwiach dobiegł ją głos Rydera.

- Jutro czekam na ciebie o ósmej. Pasuje?
- Tak.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Tego się spodziewałam! Ona nie ma zielonego pojęcia o gotowaniu.

Max założył ręce na piersi i zmarszczył brwi.

- To był jej pierwszy dzień. Może była po prostu za bardzo zdenerwowana. Nie mamy zbyt wielkiego wyboru, Hanno. A ty nie możesz dalej robić wszystkiego sama.

- I dlatego postanowiłam, że ją przyuczę - przerwała mu Hanna.

Max oniemiał. Zanim doszedł do siebie, na schodach pojawiła się Essie, smutna i z zaczerwienionymi oczami.

Kiedy ich zauważyła, przystanąła i spojrzała na ich uśmiechnięte twarze. Uśmiech był ostatnią rzeczą, jakiej się tego ranka spodziewała. I dlaczego Hanna jest w kuchni, a nie zajmuje się sprzątaniami?

- Dzień dobry, Essie - powitał ją ciepło Max.

- Dzień dobry panu.

- Mów mi Max. Tak jest prościej.

Essie niepewnym krokiem weszła do kuchni.

- Max - powtórzyła i zdobyła się na odwagę. - Dzień dobry, Hanno.

- Dzień dobry. - Hanna zatarła ręce i zwróciła się do Maxa. - Maxwell? A może byś się już stąd wyniósł, co? Musimy zająć się śniadaniem.

Max z uśmiechem zasalutował i marszowym krokiem

opuścił kuchnię. Hanna postawiła na kuchni dwie patelnie i zaczęła wyjmować z lodówki jedzenie.

- Nie stój tak, panienko, jak malowana lala. Wkładaj fartuch i bierz się do roboty.

Dzięki nadzorowi Hanny śniadanie przygotowane zostało bez problemów. Szkoda tylko, że rozmowa była mniej przyjemna. Hanna bowiem mówiła wyłącznie o sobotnich urodzinach Rydera. Gdyby jeszcze ograniczyła się do planowania jadłospisu...

- Już pora, by się usatkwował - mruzczała pod nosem. - Może ta Maddy jest dla niego właściwą kobietą. A Billy? Ryder chyba bardzo go lubi.

Essie słuchała, a jej żołądek powoli kurczył się do rozmiarów orzecha włoskiego. Czekającą ją godzinną jazdę do Billings postanowiła wykorzystać na wybadanie, jaka naprawdę jest rola Maddy w życiu Rydera.

Im dalej jechali na północ, tym ciemniejsze stawało się niebo. Z głośników płynęła muzyka country, uniemożliwiająca jakąkolwiek rozmowę. Kiedy na dodatek zaczęło grzmieć, Essie nie wytrzymała i ściszyła radio.

- Nie lubisz country? - Ryder spojrzał na nią z wyższością, najwyraźniej przygotowany na odpowiedź przeczącą.

- Lubię, ale to było dla mnie trochę głośne nagranie - odparła i w tej samej chwili popełniła błąd. Spojrzała w stronę Rydera i zauważyła, że z zainteresowaniem przygląda się jej płomiennoczerwonej, bardzo skąpej bluzeczce.

- Ja jestem odmiennego zdania - rzekł Ryder i dopiero wtedy spojrzał jej w oczy. - Byłem pewny, że lubisz krzykliwe rzeczy. Zresztą bardzo ci w nich do twarzy.

Essie skupiła całą swą uwagę na przedniej szybie, na którą spadało coraz więcej kropel. Widząc, jak z powstrzymywanej

złości faluje jej pierś, Ryder postanowił na razie dać jej spokój. Przecież mieli przed sobą cały długi dzień.

- Śniadanie było dzisiaj super - odezwał się po chwili. Kątem oka dostrzegł na jej twarzy lekki uśmiech. - Pewnie Hanna je przygotowała, co?

Jej uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Owszem, w dużej mierze. Trzeba przyznać, że jesteś wyjątkowo miły.

Ryder potrząsnął głową i parsknął śmiechem.

- No wiesz, wczorajsza kolacja dała mi trochę do myślenia.

Essie założyła nogę na nogę i poruszała nią w rytm muzyki. Nie, naprawdę powinien dać jej spokój.

- Nie mogę już się doczekać soboty. Myślisz, że Hanna wpuści cię do kuchni? - Tym razem jego śmiech był jeszcze głośniejszy.

- Chcesz zrobić wrażenie na Maddy, co? - Na twarzy Essie malowało się szczere zainteresowanie.

- Chciałbym, żeby dobrze się bawiła. Zasluguje chociaż na tyle. I jej syn, Billy, też.

- Ty go chyba bardzo lubisz, prawda?

Ryder nie wiedział, dlaczego nastrój Essie tak gwałtownie się zmienił, ale nie chciał się nad tym zastanawiać.

- Tak. Billy to fajny chłopak. Ma siedem lat, a zachowuje się jak siedemnastolatek. Uważa się za pana domu. Właściwie nim jest, bo jego ojciec zniknął jeszcze przed jego narodzinami - dodał przez ściśnięte gardło.

Ponieważ Essie nie zadała już więcej żadnego pytania, w samochodzie zapanowała cisza.

Ryder zastanawiał się, czemu jest wobec niej taki nieuprzejmy. Domyślał się, jak trudne muszą być dla niej pierwsze dni na ranczu. W ogóle musiała czuć się obco

w Montanie. Ciekawe, skąd Essie pochodzi. Postanowił się tego dowiedzieć.

- Twój akcent wskazuje, że jesteś ze Środkowego Zachodu, zgadza się?

- Tak, mieszkalam tam przez jakiś czas - odparła po dłuższej chwili. - Ale zawsze chciałam mieszkać w Montanie. No i w końcu moje marzenie się spełniło - dodała z pozorną swobodą.

Ryder od razu wyczuł, że ta dziewczyna coś przed nim ukrywa.

- Dlaczego akurat tutaj?

- W szkole średniej przyjaźniłam się z kimś stąd. W jego opowieściach Montana była rajem.

Ryder spojrzął na nią spod oka.

- Przyjaźń w szkole średniej? Hm! Ja też przeżyłem coś takiego. To była wyjątkowa dziewczyna - powiedział cicho, a noga Essie przestała wybijać rytm. - Widujesz się nadal z tą osobą? - dopytywał się dalej Ryder.

Essie z ogromnym zainteresowaniem wyglądała przez okno.

- Tak wyszło, że straciliśmy ze sobą kontakt.

- Rozumiem. Tak bywa. My też. - Milczał przez chwilę, Essie również. - W moim przypadku to może nawet lepiej. A do pisania listów zupełnie się nie nadaje.

Może by nawet do niej napisał, gdyby nie ten incydent tuż przed jego wyjazdem z Detroit. Wciąż miał przed oczami ból na twarzy Savanny, kiedy przyłapała go całującego się z inną dziewczyną. Z początku myślał, że skoro wkrótce wyjedzie z miasta, to lepiej będzie, jeśli Savanna pomyśli sobie, że doszło do czegoś więcej. Potem jednak zaczął się tłumaczyć, ale ona nawet nie chciała go słuchać. Wyjechał więc urażony i zraniony.

Ryder poprawił kapelusz i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Nie były to najprzyjemniejsze wspomnienia.

- I wiesz, dostałem wtedy dobrą nauczkę. Naprawdę. Zrozumiałem, że żadna kobieta nie jest warta tego, by tracić dla niej głowę. Owszem, trochę zabawy nie zaszkodzi, ale zbytne zaangażowanie się stwarza tylko problemy i...

- Czy dojeżdżamy już do Billings? - przerwała mu bezceremonialnie. Wyraźnie miała już dosyć wysłuchiwania jego opinii o kobietach.

- Tak, zgadza się.

Deszcz przestał wreszcie padać i na niebie pojawiła się tęcza.

- Czy coś tak pięknego może spowszednieć? - Essie nachyliła się, by lepiej widzieć przejaśniające się niebo. - Która część Montany podoba ci się najbardziej? - spytała, zanim zdążył odpowiedzieć na jej pierwsze pytanie.

Poprzez szybę Ryder zauważył pasącego się łosia. Pewien, że takie zwierzę Essie mogła widzieć dotychczas tylko w zoo, wskazał go jej brodą.

- Jezu! - szepnęła.

- Sawanna - rzekł Ryder.

- Co takiego? - Essie szeroko otworzyła oczy.

- Sawanna - powtórzył. - Pytałaś, która część Montany najbardziej mi się podoba. Zapomniałaś już?

Essie odetchnęła z ulgą.

- Właściwie lubię ją całą - mówił dalej. Zauważył czerwone plamy na szyi dziewczyny, ale uznał, że lepiej tego nie komentować. - Ale najwspanialszym widokiem jest dla mnie zawsze sawanna o zachodzie słońca.

Essie nie odrywała wzroku od pasącego się łosia.

- Kiedy ludzie myślą o pięknie, stają im przed oczami góry, strumienie i drzewa. Ale tylko sawanny i szerokie rów-

niny, gdzie niebo styka się z ziemią, budzą prawdziwy podziw i szacunek dla natury. No, może jeszcze morza.

Ryderowi wcale nie przeszkadzało to, że Essie nie odpowiada. Wiedział, że jeśli ta dziewczyna ukrywa jakiś sekret, on i tak, wcześniej czy później, odkryje prawdę. Jasne było, że o gotowaniu nie miała zielonego pojęcia, a jednak skłamała, żeby dostać tę pracę. Nie odrywała od niego wzroku, ale nie było w jej spojrzeniu cienia zalotności. Przeciwnie, złościła się, kiedy to on próbował z nią flirtować. A jeśli chodziło jej po prostu o poderwanie jakiegoś faceta, to dlaczego nie Shane'a czy Josha? A ona ich niemal nie zauważała.

Ale najbardziej denerwujące było wrażenie, że już kiedyś gdzieś ją spotkał.

Essie oparła się wygodnie i przymknęła oczy, wsłuchana w jego głos. Oto mężczyzna, w którym zakochała się ponad dwanaście lat temu. Oto mężczyzna, którego chciała odnaleźć na nowo, mężczyzna o duszy poety.

Ryder Malone - jej Ryder Malone - wciąż istniał. Nie wiedziała, czy cieszyć się, czy płakać. Cieszyć się, bo zachował wrażliwość na otaczający go świat. Płakać, bo inna kobieta okazała się dla niego na tyle ważna, że przez nią cierpiał. Kim ona jest? Essie chciała go o to zapytać, ale bała się tego, co mogłaby usłyszeć. Z tego, co mówił wynikało, że raczej nie jest to Maddy. Wobec tego: kto?

Od ich rozstania minęło dwanaście lat, nic zatem dziwnego, że Ryder związał się z jakąś inną kobietą. Choć słuchanie szczegółów o jego życiu sprawiało Essie ból, była bardzo ciekawa, co też sprawiło, że w jego słowach było tyle goryczy. I czy było to na tyle ważne, że wpłynęło na jego opinię o kobietach i stosunek do życia.

Dlaczego Ryder tak bardzo się zmienił? zastanawiała się. I dlaczego dotąd nie pogodził się z ojcem? Choć spędziła z nimi bardzo mało czasu, zauważyła ich wzajemną niechęć. Czuła, że niewiele wie o tej rodzinie, a szczególnie o samym Ryderze.

Kiedy z autostrady zjeżdżali do miasta, przysięgła sobie w duchu, że zanim na dobre opuści Joeville, dowie się, co gnębi siedzącego obok niej mężczyznę.

Z przyjemnością patrzyła, z jakim znanstwem Ryder oglądał konie. Dobrze pamiętała ich wspólne jazdy w Michigan. Wszystko, co wiedziała o koniach, wiedziała od niego. Przypomniała sobie, jak uczył ją, że najważniejsze jest nawiązanie ze zwierzęciem kontaktu wzrokowego.

Kiedy już Ryder wybrał konie, które zamierzał kupić na przyszytygodmowej aukcji, zajął się poszukiwaniem kupca na siano. Do tej pory Essie przypuszczała, że Ryder tylko korzysta z majątku ojca, że właściwie nie czuje się za nic odpowiedzialny. A tu nagle zobaczyła, że jest zupełnie inaczej. Bardzo jej się to spodobało. Na dodatek poczuła się z niego dumna. I wtedy zrozumiała, że wkracza na niebezpieczny grunt.

Podziwiała jego wiedzę i cieszył ją szacunek, z jakim traktowali go potencjalni kupcy.

- To dobrze, że postanowiłeś wrócić, stary - rzekł jeden z nich.

Essie, karmiąca właśnie cukrem jedną z klaczy, zniechęmiała. Wrócić? Myślała, że Ryder mieszkał tu cały czas.

- Uznałem, że chyba już pora gdzieś osiąść - mruknął Ryder. - Pomyślałem, że trzeba pomóc Shane'owi i Joshowi. Pewnie słyszeliście, że Josh myśli o założeniu własnej farmy.

- Wyobrażam sobie, co o tym sądzi wasz ojciec - zaśmiał się mężczyzna.

- Właśnie! Prawdziwi ranczerzy nie lubią konkurencji.

- Ryder też się roześmiał, ale chyba niezbyt szczerze.

- Przekaż mu nasze pozdrowienia.

Ryder serdecznie pożegnał się ze wszystkimi i podszedł do Essie. Delikatnie ujął ją za łokieć i poprowadził w stronę pikapa. Nawet otworzył jej drzwiczki i pomógł wsiąść. Była to zwykła uprzejmość, ale Essie miała wrażenie, że właśnie przegrała kolejną potyczkę.

- Gotowa na polowanie? - spytał z uśmiechem Ryder, a jej serce od razu zaczęło szybciej bić.

- Na polowanie?

- W supermarkecie. To niedaleko. - Nie czekając na odpowiedź, wyjechał z parkingu.

Kapitalnie! Jak kupi te wszystkie puszki, zapki i inne gotowe dania, które zamierzała schować w swoim pokoju?

- Nie masz oprócz tego nic do załatwienia? - spytała.

- Owszem, parę rzeczy.

- To może zostaw mnie tam samą. Spotkamy się później.

Ryder wzruszył ramionami, ale nawet na nią nie spojrział.

- Ile czasu ci potrzeba?

Essie wyjęła z kieszeni listę przygotowaną przez Hannę i spojrzała na nie znane jej nazwy.

- Może być półtorej godziny?

Lista była tak długa, że Essie przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna poprosić o dwie godziny.

- Czekaj na mnie w środku, bo tam jest chłodniej. - Ryder zatrzymał się przed supermarketem, ale nie wyłączył silnika. - Masz dość pieniędzy?

- Hanna dała mi kupę szmalu - odparła Essie i wysiadła z auta.

Ryder uniósł kapelusz i patrząc na jej kragłte kształty, parsknął śmiechem.

- Do zobaczenia - mruknął.

Essie nie odpowiedziała. Spuściła tylko głowę, by ukryć rumieniec.

Wieczorem przy kolacji Ryder podnosił oczy, kiedy tylko Essie wchodziła do jadalni. I za każdym razem napotykał wlepiony w siebie wzrok dziewczyny. Potem szybko spoglądała w inną stronę, zajęta ustawianiem półmisek i dolewaniem herbaty. Udawała, że w ogóle go nie zauważa. Zupełnie tak samo jak w drodze powrotnej z miasta.

Przez większość czasu siedziała wtulona w fotel i udawała, że śpi. Kiedy jednak od czasu do czasu spoglądał w jej stronę, przyłapywał ją na pospiesznym zamykaniu oczu. Wtedy, tak jak i teraz, zastanawiał się, o co jej chodzi.

Wpadające przez okno zachodzące słońce rozświetlało jej ciemne, jedwabiste włosy. Ryder był ciekaw, czy są tak miękkie, na jakie wyglądają. Pełne wargi Essie błyszcząły, ledwo muśnięte brzoskwiową szminką. Zdawały się zapraszać do pocałunku. Kiedy przechodziła obok niego, poczuł leciutki zapach orzecha kokosowego. Zapach znajomy. Ale skąd? Czy to jej szampon, czy perfumy?

Nie wygłupiaj się, skarcił się w duchu. Romans z pomocą kuchenną tylko skomplikowałby mu życie. Jak potem, już po wszystkim, mógłby jej unikać? Straciłaby tylko na tym Hanna, bo ta panienska na pewno natychmiast podziękowałaby za pracę. Patrzył, jak Essie łokciem otwiera sobie drzwi i znów znika w kuchni. Stwarzała pozory osoby silnej, ale Ryder był pewien, że łatwo ją urazić i zranić. Równocześnie było w niej coś zapraszającego. Bo czemu śledziła każdy jego ruch? Dlaczego nosiła takie seksowne ciuszki?

- Znalazłeś jakieś warte uwagi konie? - Pytanie ojca przywróciło go do rzeczywistości.

- Tak. Cztery czy pięć wydało mi się zupełnie w porządku. - Ryder wypił resztę herbaty. Z nadzieją, że Essie po powrocie do jadalni to zauważy. - Wezmę na aukcję przyczepę i mam nadzieję, że nie przywiozę jej puste.

Essie wróciła do jadalni i oczywiście dołąła mu herbaty. I znów poczuł ten znajomy, kokosowy zapach.

- Mogę się z tobą zabrać następnym razem? - spytał Josh. - Chcę przejrzeć kilka książek w bibliotece.

Max gwałtownym ruchem odłożył widelec.

- Wciąż karmisz się mrzonkami o własnej farmie?

- Wiele rancz ostatnio poszerza swą działalność - próbował bronić brata Ryder. - To bywa bardzo opłacalne.

Josh spojrział na niego z niechęcią. Uważał się za dorosłego i nie potrzebował adwokata.

Max zerknął najpierw na jednego, potem na drugiego syna.

- To jest ranczo. I takim pozostanie. Ranczerzy nie uprawiają zboża. To zajęcie dla farmerów - dodał i wrócił do jedzenia. Tym samym uznał temat za wyczerpany.

- Dlatego właśnie pomyślałem sobie, że mógłbym wyremontować stary dom dziadka. Stoi daleko od pastwisk i chciałbym tam zamieszkać - oznajmił spokojnie Josh. Tak jakby stwierdzał oczywiste fakty.

Ryder nawet nie spodziewał się dalszych argumentów ze strony ojca. Wiedział, że Josh postawi na swoim, a Max nie będzie mu w tym przeszkadzał. Stosunki między nimi zawsze były takie łatwe i zwyczajne.

No, tak, ale to Ryder znał prawdę o ich ojcu, a Josh, nieświadomy niczego, darzył Maksa szczerym szacunkiem i uwielbieniem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

We środę o zmierzchu Ryder wyszedł na dwór, by poszukać starego Indianina i opowiedzieć mu o koniach, które widział w mieście. Już dawno nie siedzieli tylko we dwóch przy wieczornym cygarze. Najpierw zajrzał do stajni, potem do chatki, którą Czarny Kruk dzielił z Shane'em. Niestety, wszędzie było pusto. Trochę rozczarowany, zawrócił do domu.

Przy ostatnim boksie dojrzał Essie. Zatrzymał się i obserwował ją z daleka.

Szeptała coś cichutko do białego kucyka w brązowe łąty i gładziła go po pysku.

Zachwycony tym widokiem Ryder podszedł bliżej. Essie wprawdzie nie urodziła się w Montanie, ale wyraźnie ktoś nauczył ją postępować z końmi. Już w Billings zauważył, że zwierzęta w ogóle jej się nie boją.

Kiedy go zauważyła, zaskoczona odsunęła się i oparła o słup. Kuc wyczuł zmianę jej nastroju i cichutko parsknął.

W jej oczach czaiły się lęk i niepewność.

- Billy jest potwornie rozpuszczony - mruknął Ryder. Wyjął z kieszeni kostkę cukru i podał zwierzęciu. - Mały go uwielbia - zwrócił się do Essie. - Niedługo chyba mu go podaruję.

- Często tu przychodzi? - spytała wyraźnie zdziwiona Essie.

- Raczej nie, ale kilka razy wziąłem go do stajni.

Ale nie do domu. Ryder nie miał ochoty odpowiadać na wscibskie pytania Hanny o matkę chłopaka. Na to będzie czas podczas jego przyjęcia urodzinowego w najbliższą sobotę.

- Tam na końcu jest źrebię - zwrócił się do Essie, która słuchała go, wyraźnie zasmucona. - Chcesz je zobaczyć?

Uśmiechnięta dziewczyna z ochotą ruszyła za nim. Znow poczuł kokosowy zapach.

- Fascynująca woń. Już wczoraj ją wyczułem.

Essie zeszywniała. Dlaczego?

- Niech zgadnę. Szampon czy olejek do opalania?

- To... Ja... To perfumy. Dostałam je od przyjaciółki.

- Szybko odwróciła się do źrebięcia, ale Ryder zdążył zauważyć, jak bardzo się zaczerwieniła. - Och, popatrz! Próbuje wstać.

Razem przyglądali się, jak maleństwo staje na swych cienkich nóżkach i niepewnie wtula się w matkę. Essie wybuchnęła śmiechem.

- Jest taki słodki - szepnęła.

Ryder patrzył tylko na Essie. Kiedy to zauważyła, znow się zarumieniła.

- Na co tak patrzysz?

Starła się, by jej głos zabrzmiał gniewnie, ale Ryder wyczuł w nim przede wszystkim zakłopotanie.

- Na ciebie. Przeszkadza ci to?

Wiedział, że tak, i ciekaw był, co mu odpowie.

Essie odsunęła się i oparła o słup. Z zainteresowaniem oglądała utrzymaną w ręku słomkę.

- A czemu by mi to miało przeszkadzać?

Ryder stanął tuż obok niej i oparł rękę o belkę ponad jej głową. Usłyszał, jak Essie głośno wciąga powietrze.

- Ty mi powiedz.

Widział wyraźnie jej falujące piersi. Coś go tu intrygowało. Nie tyle ta maleńka, robiona na drutach bluzeczka, lecz raczej fakt, że Essie zdecydowała się ją nosić. Zupełnie nie pasowała do tej nerwowej dziewczyny, tracącej w jego obecności oddech i zbywającej jego pytania wykrętami. Rozum nakazywał mu odejść. I to natychmiast. Musiał przecież myśleć o Maddy i Billym. Jednak serce przekonywało go, że powinien teraz pocałować te delikatne, nabrzmiałe usta i poczuć z bliska ten nie wiadomo skąd znajomy zapach orzecha kokosowego.

- Wiesz co? - rzekł, ujmując Essie pod brodę. - Nie powinnaś nosić takich rzeczy, jeśli nie chcesz wzbudzać tego rodzaju zainteresowania. - Jego wzrok skupiony był teraz na jej ustach. Zauważył przez moment koniuszek języka Essie, który jednak natychmiast zniknął, jakby zawstydzony własnym zuchwalstwem. - Chyba że o to właśnie ci chodzi.

- O nic mi nie chodzi. - Essie odwróciła głowę, unikając jego wzroku.

- Naprawdę? - zaśmiał się z niedowierzaniem. - To dlaczego cały czas czuję na sobie twój wzrok? A może po prostu lubisz studiować męskie pośladki?

Dopiero teraz na ułamek sekundy spojrzała mu prosto w oczy. Potem z całej siły, obiema rękami, odepchnęła go od siebie. W tej samej chwili z domu rozległ się głos Josha.

- Ryder, Maddy dzwoni.

- Już idę! - odkrzyknął Ryder. Potem spojrzał na Essie. Stała oparta o bramkę boksu, gotowa do walki.

- Do widzenia, błękitnooka. Dokończymy tę rozmowę kiedy indziej - mruknął, otrzepał kapelusz o udo, wsadził go na głowę i ruszył w stronę domu.

Przez głowę Essie przemknęły wszystkie znane jej obelgi.

Na szczęście pozostały nie wypowiedziane, bo zabrakło adresata. Szybko wsiadła na kasztanka przygotowanego dla niej przez Indianina i nie oglądając się za siebie, opuściła stajnię.

Dopiero będąc daleko od domu, od stajni i od Rydera pozwoliła sobie na rozmyślania. Koń pasł się spokojnie, a ona rozglądała się dokoła i wdychała cudownie świeże powietrze.

A więc jej pierwsze wrażenie było trafne. Ryder to zepsuty, beczelny egoista. Teraz mogła dodać kolejne niepochlebne określenie - podrywacz. Na widok spódniczki ten facet zupełnie tracił głowę.

Nie, nie chciała o tym myśleć. A jednak myślała. Nie tylko teraz, ale od pierwszego dnia pobytu na ranczu. Ryder w ramionach innych kobiet... na przykład: w ramionach Maddy.

Jednak nie potrafiła pozbyć się innego obrazu. Usta Rydera zaledwie kilka centymetrów od jej warg. Wystarczyło tylko, by się nachyliła - taki ruch, o którym marzyła od ponad dwunastu lat.

Ale okazało się to trudniejsze, niż sądziła.

Essie rozejrzała się po dolinie. Spojrzała na słońce, czerwono zachodzące za bliźniaczymi szczytami. Po co się oszukiwać? Choćby Ryder udawał nie wiedzieć jakiego supermana, jej nie zwiedzie. Wiedziała, że pod tą lodowatą powłoką kryje się szlachetne, dobre serce. Gdyby tylko wyczuła właściwy moment, udałoby jej się przebić przez ten lód albo choć trochę go rozpuścić. Nawet gdyby ich związek okazał się tylko przelotnym romansem, Essie opuściłaby to miejsce z miłymi wspomnieniami. Ale nie! Ona jak zwykle nie potrafiła wykorzystać swojej szansy. Następnym razem, jeśli taki w ogóle będzie, na pewno zachowa się inaczej.

Dla uspokojenia puściła się w lekki galop. Wydawało jej

się, że dobrze zna Rydera. Z wyjątkiem tego jednego wieczoru w Michigan nie spotykał się z żadną inną dziewczyną. Wydawało się jednak, że z nawiązką nadrobił potem te zaległości. A teraz miał Maddy. Kimkolwiek była, ona i jej syn okazali się dla niego na tyle ważni, że zaprosił ich na swoje urodziny. Dlaczego więc przed chwilą w stajni zalecał się do mnie? pomyślała wzburzona.

Wąską ścieżką poprowadziła konia do strumyka i pozwoliła mu się napić. Wciąż myślała o tym pocałunku, do którego o mało co nie doszło. W pewnej chwili aż jęknęła ze złości - na siebie i na tego nieznośnego mężczyznę.

- Ale, szanowny panie Ryder, niech pan sobie nie myśli, że dzięki mnie wryje pan kolejne inicjały na wezgielciu swojego łóżka! - krzyknęła ze złością.

- Powiedz mu to osobiście!

Przerażona Essie odwróciła się i ujrzała tuż za sobą uśmiechniętego Shane'a. Stał oparty o drzewo i żuł jakąś trawkę. Ostrożnie i powoli, by rumieniec wstydu zdażył zniknąć z jej twarzy, zsiadła z konia.

- Zawsze to robisz!

- Co takiego?

- No, wiesz! Gapisz się na mnie.

Shane ani na moment nie przestał się uśmiechać. Usiadł swobodnie na trawie i poklepał ziemię obok siebie.

- Uspokój się. Patrz.

Essie posłusznie usiadła i spojrzała we wskazanym kierunku. Razem patrzyli na połyskującą w zachodzącym słońcu srebrzystą powierzchnię strumienia. Na przeciwległym brzegu, na niewielkiej polance pasła się para jeleni.

Zmierzch szybko zapadał. Shane był Essie prawie obcy, ale, o dziwo, czuła się w jego towarzystwie zupełnie swobodnie.

- Nie powinnaś zwracać uwagi na zachowanie Rydera - rzekł w pewnej chwili. - On wcale nie jest taki, na jakiego wygląda. A ty, Essie Smith? - Shane zwrócił się w jej stronę i czekał na odpowiedź.

Essie, by zyskać na czasie, najpierw zerwała jakiś małeńki, żółty kwiatek, który rósł obok jej stóp.

- Co ja?

- Dlaczego tu jesteś? I nie mów mi, że uwielbiasz gotować.

- Potrzebowałam pracy i jakiegoś mieszkania - odparła bez zająknięcia. Przecież to akurat było prawdą. - Straciłam pracę sekretarki i uznałam, że pora na jakąś odmianę.

- A więc skłamałaś, mówiąc, że umiesz gotować.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Tak.

Shane uśmiechnął się. Docenił jej szczerłość.

- Mogę ci obiecać, że nie zdradzę twojej tajemnicy, ale i tak już chyba wszyscy się tego domyślili.

- Szybko się uczyć - próbowała się bronić Essie. - Hanna jest znakomitą nauczycielką.

- Zgadzam się. - Shane przez chwilę przyglądał jej się z uwagą. - I nie wątpię, że świetnie sobie poradzisz.

Dobiegający z oddali warkot silnika kazał jej się odwrócić. Drogą, wzbijając tuman kurzu, jechał pikap. Była pewna, że Ryder wybiera się do Maddy. Nie wiedzieć czemu, ta myśl sprawiła Essie ból. Przecież to idiotyczne, żeby wciąż tak przejmować się tym mężczyzną.

- Moim zdaniem, Maddy to żadna konkurencja.

- A co mnie to obchodzi! - warknęła bez zastanowienia Essie.

Shane milczał przez bardzo długą chwilę, nie spuszczać z niej wzroku. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos był dużo mniej przyjazny.

- Wolę cię, kiedy mówisz prawdę. Jeśli chcesz już wracać, możemy pojechać razem - dodał. Wstał z ziemi i odwiązał swojego konia.

Essie została na miejscu. Długo zastanawiała się, co i jak powiedzieć.

- Moje uczucia wobec Rydera są trochę pogmatwane.

- O, tak już lepiej.

- Dlaczego on ciągle jest taki... zły? Czemu trzyma się od was wszystkich z daleka? - spytała kierowana impulsem Essie.

- Tyle lat mieszkał poza domem. Rzadko odwiedzał nasze ranczo. Ale kiedy przyjeżdżał, zawsze było jak dawniej.

- Odpowiedz na pytanie.

Shane przykucnął obok niej. Ze spuszczoną głową wpatrywał się w ziemię.

- Długo nie mógł pogodzić się ze śmiercią matki.

- Tak, wiem.

Shane przyglądał jej się uważnie. Czyżby szukał jakiegoś ukrytego sensu w tym zwyczajnym przecieź stwierdzeniu?

- Chciałam powiedzieć... To znaczy... Hanna opowiedziała mi o waszej matce. - Wiedziała, że znów się wkopała, ale brnęła dalej. - Tak, rozumiem to. Ale ty i Josh jesteście tacy pogodni i otwarci.

Shane nawet nie mrugnął okiem. Zdawał sobie sprawę, że Essie nie mówi mu całej prawdy.

Wyraźnie rozczarowany, wstał i wsiadł na konia. Essie, unikając jego spojrzenia, też dosiadła swojego kasztanka.

Tak jak przypuszczała już pierwszego dnia, Shane'a niełatwo było nabrać.

Ryder dostrzegł Maddy siedzącą na bujanej ławeczce na ganku jej domu. W smutnym zamyśleniu wpatrywała się

w kwiatowe rabatki. Na skrawku ziemi Billy bawił się ciężarówką. Kiedy zauważył Rydera, natychmiast podbiegł do pikapa.

- Jak leci, kolego? - Ryder nachylił się i przytulił małego.

- Masz czas, żeby pobawić się ze mną autami? A może pokażesz mi te sztuczki ze sznurkiem? - dopytywał się chłopczyk z nadzieją.

- Może później. - Ryder pieszczotliwie zmierzwił płowe włosy dziecka i spojrzał w stronę ganku. - Najpierw muszę chwilę porozmawiać z twoją mamą. Dobrze, stary?

Billy był wyraźnie rozczarowany, ale nie zaprotestował.

- Dobra - rzekł i po chwili znów pochłonięty był zabawą.

Ryder wszedł po schodkach i usiadł obok Maddy, która położyła mu rękę na kolanie, a on przykrył ją swoją dłonią i lekko uściśnął.

- Co słysząc, piękna pani? - Starał się, by jego głos był lekki i wesoły, ale ostatnio przychodziło mu to z coraz większym trudem.

Maddy odpowiedziała mu swym stałym, uspokajającym uśmiechem, na który jednak już od dawna żadne z nich nie dawało się nabrać.

- Jak zwykle.

Przez chwilę bujali się w milczeniu i patrzyli na bawiącego się Billy'ego. W pewnej chwili Maddy podała Ryderowi dużą, brązową kopertę, którą do tej pory trzymała na kolanach.

- Mój adwokat przywiózł mi to parę godzin temu. Przeczytałam i podpisałam w jego obecności, a dziewczynki były świadkami. To kopia dla ciebie.

Ryder wziął kopertę, ale jej nie otwierał. Wiedział, co jest

w środku, bo dawno wszystko omówili. Może później, kiedy będzie sam, przeczyta to jeszcze raz. Ale nie teraz. Nie w obecności Billy'ego. Ważne uczucia przełożone na język prawniczy. Wciąż nie mógł się do tego przyzwyczaić. Odłożył kopertę na bok i rozmyślnie wybrał inny temat rozmowy.

- Nie zmieniałaś zdania w sprawie moich urodzin?

Maddy parsknęła śmiechem.

- Za żadne skarby bym z tego nie zrezygnowała, króliczku. - Kiedy potrząsnęła głową, włosy jej blond peruki zatańczyły wokoło. - Starego Maxwella nie widziałam chyba od stu lat. Wie, że mam przyjść?

- Tak - zaśmiał się Ryder, bo przypomniał sobie, z jaką miną ojciec przyjął tę wiadomość. - Wszyscy wiedzą, że będziesz. Jesteś pewna, że nigdy nie widziałas Josha ani Shane'a? - spytał podejrzliwie.

Maddy patrzyła prosto przed siebie.

- Tak. Nie miałam tej przyjemności.

Wiedział, że nigdy nie dowie się od niej, jak było naprawdę. Właścicielka Purpurowego Pałacu zapewniała swoim gościom dyskrecję. Gdyby w dzieciństwie Ryder nie widział na własne oczy, jak jego ojciec opuszcza ten przybytek, nigdy by się nie dowiedział prawdy. Znow chciał zapytać Maddy, czy to ją odwiedzał Max, ale i tak by mu niczego nie powiedziała. Zresztą nie był pewien, czy naprawdę mu na tym zależało.

Maddy wstała i podeszła do balustrady.

- Billy! Pora myć się i spać.

- Oj, mamoo!

- Tak, tak, synku. Bez dyskusji.

- A może bajka na dobranoc? - spytał Ryder, stając obok Maddy.

- Ale nie z książki? To będzie twoja własna, z głowy, tak? - dopytywał się mały.

Ryder spojrzął na zegarek.

- Jeśli za dziesięć minut będziesz w łóżku.

Ostatniemu jego słowu towarzyszyło trzaśnięcie drzwi i tupot małych stóp na schodach.

- On cię uwielbia, króliczku - powiedziała Maddy, a w jej zmęczonych, smutnych oczach pojawiły się łzy. - Tak bardzo się z tego cieszę.

Ryder nie był w stanie patrzeć na nią ani chwili dłużej. Przytulił ją do siebie i delikatnie pogładził po plecach.

- Ja też, Maddy. Ja też.

Stali tak już od dłuższej chwili, kiedy przed boczne wejście zajechało jakieś auto.

Wejście frontowe zarezerwowane było dla Maddy, Billy'ego i ich znajomych. Klienci wiedzieli, że dla nich są drzwi z boku. Ponieważ dom otaczał szeroki ganek, trudno było odróżnić, które drzwi są które, ale stali klienci nie mieli z tym problemu.

Ryder znów spojrzął na zegarek.

- Zobaczę, czy Billy jest już w łóżku.

Razem z Maddy poszli na tył domu. Billy usłyszał ich kroki i błyskawicznie wskoczył pod kołdrę.

- Umyłeś zęby? - spytała Maddy, nachylając się, by pocałować go w czoło. Zamiast odpowiedzi chłopiec odstąpił w szerokim uśmiechu szczerbatą szczękę.

- Bardzo ładnie! Dobranoc, kochanie. Karaluchy do poduchy.

- A szczypanki do zabawki - odparł Billy i posłał mamie pożegnalnego całusa.

Ryder zdjął buty i ułożył się obok chłopca.

- No, dobra. To którą chcesz usłyszeć?

- O tobie i tym wstrętnym niedźwiedziu grizli.

Ryder mocno przytulił chłopczyka.

- A więc było to pod koniec listopada i śnieg sięgał do kolan...

Stojąca za drzwiami Maddy oparła się o framugę, zamknęła oczy i westchnęła głęboko.

- Dzięki ci, Boże, za ten dar. Wiem, że pewnie nie zasługuję na twoją łaskę, ale to bardzo ładnie z twojej strony, że opiekujesz się moim Billym - wyszeptała przez łązy.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Essie odstawiła ostatni talerz i zdjęła fartuch. Hanna poszła już do swojego pokoju oglądać telewizję, a ona czuła się bardzo zmęczona. Dobra książka i osiem godzin porządnego snu - oto o czym marzyła. Przez trzy kolejne noce prawie nie zmrużyła oka i była naprawdę wykończona. Wczoraj było najgorzej. Obraz Rydera, nachylającego się ku niej, wspomnienie jego warg tuż obok jej ust, nie pozwalały jej spać.

Z trudem powlokła się na górę do swego pokoju i aby jakoś dojść do siebie, opłukała twarz zimną wodą. Nagle zauważyła stojącą na półeczce buteleczkę perfum Niny Ricci. Szybko schowała ją do szafki z ręcznikami. Od wieków używała tylko tego zapachu. Nie chciała ryzykować, że Ryder w końcu przypomni sobie, skąd zna te perfumy.

Powiew chłodnego wiatru wydał firanki w oknie obok jej łóżka. Essie podeszła, by je zamknąć, i przy okazji zauważyła obiekt swoich marzeń sennych. Ryder energicznie podążył w stronę stajni. Po sekundzie wahania Essie chwyciła sweter i zbiegła na dół.

Szła zwirową ścieżką w stronę stajni, zmagając się z silnym, zimnym wiatrem. Temperatura spadła o dobre dziesięć stopni i Essie żałowała, że nie włożyła czegoś cieplejszego. Drżała nie tylko z zimna, ale i z niepokoju. Sama nie wiedziała, co popychają do działania. Czasami Ryder przyciągał ją jak magnes i po prostu szła za nim, choć rozsądek naka-

zywał raczej uciekać. Od dwunastu lat jednak w jej uczuciach do Rydera Malone'a próżno by się doszukiwać logiki.

Ryder wrzucał siano do boksu kobyły i żrebaka, i zauważył Essie dopiero wtedy, kiedy skończył pracę. Unikając jego spojrzenia, oparła się o ogrodzenie i patrzyła na żrebię.

- Dziś już tak nie drży - zauważyła.

- Za to ty tak - rzekł Ryder. Objął ją i pogładził po ramionach.

Nawet przez grubą wełnę czuła ciepło jego dotyku. Miała wrażenie, że czas cofnął się o piętnaście lat, do dnia, w którym poznała Rydera. Znow była nastolatką, z trądzikiem, aparatem na zębach i nadwagą. Dlaczego zawsze w jego obecności traciła pewność siebie?

Ryder odwrócił ją ku sobie i powoli zaczął zapinać sweter, który Essie tylko na siebie narzuciła. Mówił, nie patrząc jej w twarz.

- A więc masz coś, co zaczyna się pod szyją.

Dopiero kiedy zapiął ostatni guzik, spojrzął jej w oczy. A ona nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, ciemnych włosów opadających na kołnierzyk dżinsowej koszuli i niespokojnych, brązowych oczu. Drżała coraz bardziej. Przypomniała sobie swoje wczorajsze postanowienie, przysunęła się więc do Rydera i położyła ręce na jego biodrach. Uniosła brodę, chcąc ułatwić mu sytuację, ale gdyby nie skorzystał z zaproszenia, sama gotowa była przejąć inicjatywę.

Na razie skupiła wzrok na jego wargach. Nie przybliżyła się do niej, ale i nie odsuwała. Essie zrobiła jeszcze jeden krok do przodu i poczuła jego twarde jak kamień uda. Jej ręce spoczęły na jego ramionach, potem delikatną pieczęcią powędrowały na plecy.

Wtedy jego wargi, jak w zwolnionym tempie, rozpoczęły długą podróż ku jej ustom. Zamiast wyjść im na spotkanie,

patrzyła po prostu, jak się zbliżają. Oblizła wargi z nadzieją, że dzięki temu pocałunek bardziej mu się spodoba.

Jego ręce zacisnęły się mocniej na jej ramionach, a potem uniósł brodę, pocałował ją lekko w czoło i odsunął się.

Essie nie wiedziała, co zrobić - kopnąć go w kostkę czy krzyknąć. Zamiast tego po prostu ujęła jego głowę, przywarła wargami do jego ust i wzięła to, czego chciała.

Przez moment czuła, jak Ryder sztywnieje, więc językiem rozchyliła jego wargi. Nie był w stanie już dłużej się opierać.

Kiedy potem odsunął ją od siebie, znów drżała, ale nie z zimna, lecz z pożądania. Ryder potrząsnął głową, westchnął głęboko i dopiero potem odważył się spojrzeć jej w oczy.

- Essie, nie powinnaś zadawać się z takimi jak ja.

- Ale ja chcę - przerwała mu zdecydowanie. Prawda zwyciężyła dumę.

- Ja tak nie mogę. - Ryder oparł się łokciami o ogrodzenie boksu i zwiesił głowę. - Nie wiesz o mnie tylu rzeczy.

- To mi powiedz - nalegała.

Ryder odwrócił się ku niej, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, potem jednak zrezygnował i zanim Essie zdążyła zareagować, otworzył sąsiedni boks i wyprowadził osiodłanego konia. Dopiero wtedy, kiedy siedział już w siodle, odważył się na nią spojrzeć.

- Przepraszam cię, ale muszę jechać.

Jeszcze przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem bez słowa wyjechał ze stajni.

Essie wyszła za nim i patrzyła bezradnie, jak Ryder galopem rusza tą samą trasą, co poprzedniego wieczora. Znów jechał do Maddy.

Szybko osiodłała swojego kasztanka i chwilę później podążała śladem Rydera. Sama nie wiedziała, dlaczego tak po-

stępuje. Była pewna tylko jednego - musi dowiedzieć się, gdzie mieszka Maddy. Dopiero wówczas, kiedy zobaczy, jak Ryder wita tę kobietę takim pocałunkiem, jaki i ona sama przed chwilą otrzymała, będzie w stanie uwierzyć, że naprawdę mu zależy na Maddy. Ale nie wcześniej! Coś jej tu nie pasowało. Gdyby Ryder był zakochany w kimś innym, nie zareagowałby w taki sposób na jej pocałunek. To niemożliwe, by ktoś aż tak bardzo się zmienił.

Im dłużej jechała, tym bardziej bała się tego, co może ujrzeć. Co zrobi, jeśli Ryder i Maddy wejdą do środka? Nagle wpadł jej do głowy wspaniały pomysł. Max zaproponował koktajl o szóstej i kolację o siódmej albo w pół do ósmej. Prosił, żeby spytać Rydera, czy dla Billy'ego nie będzie to za późna pora. Oczywiście Essie nie musiała znać odpowiedzi akurat teraz, ale lepszego pretekstu do odwiedzin Maddy nie była w stanie wymyślić.

Minęło już dwadzieścia minut i Essie zaczęła się niepokoić. Nigdzie nie było śladu Rydera. Czyżby wybrała złą drogę? Na szczęście za najbliższym zakrętem wyjechała na niewielką polanę i w dole niewielkiego wzgórza zauważyła samotny dom. Stary, bladuróżowy, wiktoriański budynek. Był naprawdę piękny. W tej samej chwili dojrzała przywiązanego do słupa konia Rydera i zaklęła pod nosem. Przyjechała za późno i Ryder musiał być już w środku.

Nagle uświadomiła sobie, że robi z siebie idiotkę. Przecież jutro jest dopiero czwartek. Będzie jeszcze mnóstwo okazji, by powiedzieć Ryderowi o propozycji Maksa. Pytanie go o to teraz to czysty idiotyzm.

Tak jednak właśnie zamierzała postąpić.

Przywiązała konia i weszła na ganek. Wybrała drzwi, przed którymi zauważyła dwa zaparkowane auta. Drżącą ręką zapukała w drewnianą ramę.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. W progu stanęła mocno, wręcz wulgarnie wymalowana kobieta w przezroczystym, różowym peniuarze.

- Witaj, moja droga. Jak ci na imię, słodziutka?

Essie była tak zaskoczona, że dopiero po chwili wyciągnęła do nieznajomej rękę.

- Nazywam się Essie. - Nie, to nie może być Maddy, pomyślała. Przecież ta kobieta ma co najmniej czterdzieści pięć lat.

- Essie? Essie? - Kobieta zamrugała sztucznymi rzęsami.

- Nie znam nikogo o tym imieniu. Ale wejdź, wejdź. Obejrzymy cię.

Essie, sama nie wiedząc dlaczego, posłusznie weszła do urządzonego w stylu wiktoriańskim holu. Kobieta od razu zaczęła rozpinać jej sweter.

- Ej, chwileczkę! Co pani wyprawia?

- Nie bądź taka wstydliva. - W holu pojawiła się kolejna kobieta. Była sporo młodsza od tamtej, ale i ona obrzuciła Essie taksującym spojrzeniem. - Musimy przecież zobaczyć, jakie skarby ukrywasz pod tym swetrzyskiem.

W holu było ciepło i rzeczywiście sweter był jej niepotrzebny, ale Essie nie miała najmniejszej ochoty, by rozbierał ją ktoś obcy. Sama zaczęła rozpinać guziki. Przy okazji spod oka obserwowała nowo przybyłą. Miała ona na sobie czarny, skórzany gorset i taką samą minispódniczkę. To chyba też nie była Maddy.

- A teraz ja z kolei pozwolę sobie zapytać o wasze imiona - powiedziała Essie, sięgając do górnego guzika.

- Mów mi Suzette - powiedziała starsza z kobiet. - A to Madonna.

No, tak, można się było tego domyślić.

Essie zmusiła się do uśmiechu, który, na nieszczęście,

pobudził Suzette do działania. Jednym zręcznym ruchem ściągnęła z Essie sweter.

- No, no - zwróciła się do koleżanki. - Popatrz, co my tu mamy? Talia osy i wspaniałe balony!

Essie wyrwała jej sweter i zasłoniła nim biust. Czuła, że się rumieni. Jeszcze tylko tego jej brakowało. Kim są te kobiety?

Nagle za plecami usłyszała czyjś śmiech. Odwróciła się i u szczytu schodów zobaczyła jakiegoś mężczyznę przytulającego młodą kobietę w czerwonej bieliźnie, czarnych pończochach i szpilkach na co najmniej dziesięciocentymetrowych obcasach.

O Boże! A więc takie domy istnieją naprawdę, nie tylko w filmach! Czyżby te kobiety uznały ją za jedną z nich? Pewnie sądziły, że Essie szuka pracy.

- Przepraszam - wyjąkała. - Musiałam się pomylić. - Odwróciła się do wyjścia i nagle przez boczne okno zauważyła tego, którego szukała.

Stał obok bardzo ładnej kobiety, skromnie ubranej w szelki, szary sweter i spodnie. Miała długie, proste blond włosy, była bardzo szczupła i, przynajmniej z tej odległości, wyglądała na starszą od Rydera o co najmniej piętnaście lat. Przede wszystkim jednak wzrok Essie przyciągnął stojący obok nich mały, płowowłosy, szczerbaty chłopczyk. Serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła, z jakim uwielbieniem patrzył na niego Ryder. Po chwili wziął małego na ręce, a ten mocn objął go za szyję.

Essie słyszała, że kobiety coś do niej mówią, ale nie był w stanie oderwać wzroku od widoku za oknem. Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu.

W końcu, całą siłą woli, zmusiła się, by spojrzeć na Suzette i Madonnę.

- Przepraszam. Zdaje się, że pomyliłam adres.

Nie zważając na ich protesty, wybiegła z domu i wskoczyła na konia. Miała nadzieję, że Ryder jej nie zobaczył. Zwolniła dopiero wtedy, gdy znalazła się w lesie.

Ależ z niej idiotka! Wyobrażała sobie, że przyjazd do Montany rozwiąże zagadkę Rydera Malone'a. I jak jakaś zakochana smarkuła śledziła go aż do tego domu. Sposób, w jaki Ryder odnosił się do Billy'ego, utwierdził Essie w przekonaniu, że mężczyzna, którego pokochała w Detroit, niewiele się zmienił. Wszystko stało się jasne. W jego życiu jest ktoś inny. Inna kobieta i ten słodki chłopczyk, może nawet jego syn.

Dla niej jest już za późno.

- Jesteś pewien, króliczku? Jeszcze możesz zmienić zdanie. - W głosie Maddy brzmiała troska.

Ryder ponownie uściskał małego, potem postawił go na ziemię i położył rękę na jego ramieniu.

- Jestem absolutnie pewien. Przyjadę jutro i w piątek, jak tylko skończę pracę. A w sobotę wieczorem wszyscy razem pojedziemy na ranczo.

Nie ma już odwrotu, myślał w drodze powrotnej do domu. Wiedział, że decyzja, jaką podjął, była właściwa. Przeraziły go tylko jej konsekwencje.

Jechał teraz wzdłuż strumienia, marząc, by ta podróż mogła trwać wiecznie. Był mu obojętny cel wędrowki, pozwolił więc koniowi wybrać drogę. Nagle usłyszał niedaleko jakiś dziwny odgłos. Z początku myślał, że to cierpi jakieś zwierzę i skierował konia w tamtą stronę. Po chwili dostrzegł siedzącą na ziemi samotną postać - ramiona jej drżały, twarz schowała w dłoniach.

Ryder rozejrzał się dokoła, szukając jakichś śladów walki.

Wszystko wyglądało zwyczajnie. Oprócz Essie. Chciał się wycofać, zanim go zauważy, jednak jej rozpacz była tak przejmująca, że nie mógł zostawić jej samej.

Kiedy usłyszała jego kroki, odwróciła się plecami i rękawem swetra otarła twarz. Gdy usiadł obok niej, nie odezwała się ani słowem.

- Może wolałabyś zostać sama? - spytał po chwili.

Essie pociągnęła nosem i skierowała wzrok na leniwie płynący strumień. Jej profil wydał się Ryderowi znajomy, znów odniósł wrażenie, że już kiedyś musieli się spotkać. Ale gdzie i kiedy? Wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i podał ją Essie.

Posłusznie wytarła nos i oczy, po czym rozszlochała się znowu.

- Wiem... wiem, że strasznie się wygłupiłam! Najpierw tam, w stajni, a potem... potem w tym domu - wyjąkała przez łzy.

- Byłaś tam?

- Tak. Ale nie pytaj, czemu tam pojechałam.

- Och, Essie, Essie. - Ryder potrząsnął głową, a potem pogładził jej miękkie, ciemne włosy. - Nie wiem, co tam zobaczyłaś, ale to wcale nie jest tak, jak ci się wydaje.

- Chcesz powiedzieć, że to nie jest dom rozpusty?

Ryder nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Cóż za staroświeckie słowo. - Zauważył, że Essie wcale to nie bawi, więc natychmiast spowaźniał. - Tak, to jeden z takich domów, ale nie pojechałem tam, żeby...

- Widziałam cię przed domem z Billym. Bo to był on, prawda?

- Tak.

- I Maddy?

- Tak, to była Maddy, ale...

Essie przerwała mu zdecydowanym gestem dłoni.

- Przepraszam cię. Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

- Essie! - Ryder spojrzał na nią z czułością. - Nie poszedłem tam po to, żeby być z Maddy. Nie w ten sposób, jak myślisz. Tu chodzi o Billy'ego. O to, że on mnie potrzebuje. Chodzę tam najczęściej, jak mogę, żeby się z nim bawić. - W zamyśleniu podniósł z ziemi kamyk i wrzucił go do strumienia. - Chyba domyślasz się, że mężczyźni, którzy odwiedzają ten dom, zupełnie nie obchodzi właścicielki.

- Maddy jest... właścicielką tego...

- Nigdy tak o sobie nie mówi, ale to fakt. Przedtem dom należał do jej matki, teraz, po śmierci starszej pani, ona go prowadzi. Już od bardzo dawna nie przyjmuje... klientów.

Essie spojrzała na niego swymi niebieskimi oczami. Były bardzo smutne i... bardzo znajome. Czegoś w jego twarzy szukała. Może prawdy? Ale jakiej? A może sama chciała mu coś powiedzieć? Wyjawić powód swego cierpienia?

- Czy masz może przy siodle derkę? - spytała, cała drżąc. Ryder natychmiast ją przyniósł i otulił nią Essie.

- Dziękuję - powiedziała, nieco już spokojniejsza. - Możemy chwilę porozmawiać? A może się śpieszysz?

- Nie, nie śpieszę się. - Czubkiem palca starł czarną smugę spod jej oka.

- Czy mogę cię zapytać, gdzie byłeś przez ostatnie lata? No, wiesz, słyszałam, że dopiero niedawno wróciłeś na rancho. Po prostu chciałabym wiedzieć, gdzie mieszkałeś.

- W Helenie. Kierowałem tam sporym ranczem. Od skończenia szkoły do teraz.

Przez chwilę przyglądał jej się uważnie. Jaki jest cel tej rozmowy? Przecież to, co się z nim działo, nie może mieć nic wspólnego z jej łzami. A jednak... jednak bardzo chętnie poznałby ich przyczynę.

- Czemu wróciłeś?

Ryder odetchnął z ulgą, bo spodziewał się raczej, że Essie zapyta, czemu stąd wyjechał.

- O, to proste. Z powodu Billy'ego. Chciałem pomóc w jego wychowaniu. - Zanim odwróciła wzrok, zauważył ból w jej oczach. Czyżby myślała, że chłopak jest jego synem? A jeśli nawet, to co?

- Tęskniłeś za braćmi? - spytała po dłuższej chwili.

- Czasami - odparł niechętnie, bo nie był to przyjemny temat. - Już w dzieciństwie nasze drogi się rozeszły. Poszliśmy do różnych szkół. Rozłąka sprawia, że nawet bliscy sobie ludzie z czasem oddalają się od siebie.

Zauważył, że broda Essie drży i pomyślał, że znów zacznie płakać. Nachylił się ku niej i otulił ją szczelniej derką. Jego twarz znalazła się bardzo blisko jej twarzy. Za blisko. Widział łyzy błyszczące na jej rzęsach.

- Czy mógłbyś mnie jeszcze raz pocałować? - spytała szeptem.

Wiedział, że nie powinien. I wiedział, że bardzo tego chce.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Essie odsunęła się i spojrzała w ciemne oczy Rydera. Nawet w świetle księżyca dostrzegła w nich pożądanie. Pożądanie i niepokój. Czego się bał? Tego, że ten pocałunek w jakiś sposób ją zrani, da jej złudną nadzieję? A może Ryder uważał, że nie powinien zdradzać Maddy? Jego wargi spoczęły na czole Essie i musnęły chłodną skórę. Nie, przecież on nie kocha Maddy. Tak właśnie powiedział, prawda? A teraz, kiedy jego ręce tak delikatnie gładziły jej plecy, Essie była pewna, że nie jest mu obojętna. Zależało mu na Essie czy na Savannie? Wszystko jedno.

Kiedy uniosła głowę i na ułamek sekundy ich oczy się spotkały, wiedziała, że za chwilę dostanie swój upragniony pocałunek. I nie tylko to.

Jego wargi spoczęły na jej ustach, ciepłe i delikatne, jednak coraz bardziej niecierpliwe.

Essie gwałtownym ruchem zsunęła mu z ramion kurtkę, potem zaczęła rozpinać jego koszulę. Z taką samą niecierpliwością Ryder wyswobodził ją ze swetra i wsunął ręce pod stanik. Kiedy jego wargi objęły jej sutkę, jęknęła z rozkoszy. Tyle lat marzyła o tej chwili. Tak bardzo go pragnęła.

I teraz odda mu się cała.

- Essie? - szepnął jej do ucha Ryder. - Jesteś pewna?
- Nigdy w życiu nie byłam niczego bardziej pewna - wyjąkała przez łyży.

Kiedy potem leżeli wtuleni w siebie, przykryci grubą der-

ką, Essie, choć czuła wciąż fizyczną bliskość Rydera, wiedziała, że on myślami jest już gdzie indziej. Leżała nieruchomo, z niepokojem czekając na to, co nieuchronnie musiało nastąpić.

- Essie...

Już sam sposób, w jaki wymówił jej imię, sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nigdy bym...

- Ale ja tego chciałam. - Dla podkreślenia swoich słów przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- To było z mojej strony bardzo samolubne. Bardzo cię przepraszam.

- Nic nie mów. - Essie objęła go mocno ramionami. - Nie psuj tej chwili.

Ryder wysunął się z jej objęć i usiadł. Pod derką natychmiast zrobiło się lodowato. Nie tylko w dosłownym sensie.

- Ja... ja w tej chwili nie mogę się z nikim wiązać. - Patrzył teraz na strumień, jakby zupełnie zapomniał o obecności Essie.

Chciała zapytać, dlaczego, ale wiedziała, że to bez znaczenia. Ważne było tylko to, że on nie chciał się z nikim wiązać.

Patrzyła, jak Ryder się ubiera, i ledwo powstrzymywała łzy. Nie, nie chciała, żeby się nad nią litował.

- Nie mogę cię tak tu samej zostawić - rzekł, całkiem już ubrany.

Chciała coś odpowiedzieć, ale nie była w stanie.

- Chodź, Essie. Odwiozę cię z powrotem na ranczo.

- Wolałabym zostać sama - wyjąkała, nie patrząc na niego.

- Skoro tak... Ubierz się więc i pojedź sama, a ja sprawdzę, czy dojechałaś bezpiecznie.

Kiedy w końcu znalazła się w swoim mieszkaniu i weszła pod prysznic, znów poczuła się tamtą pospolitą i nieatrakcyjną grubaską z czasów młodości.

Przez większą część nocy obmyślała, jak ma się zachować, kiedy nazajutrz spotka Rydera przy śniadaniu. Teraz przyszła pora, by wcielić ten plan w życie.

O piątej trzydzieści zeszła na dół i zastała Hannę stojącą nad zlewem. Choć nie było to łatwe, postanowiła udawać, że jest to taki sam ranek jak każdy inny. Nikt nie musi o niczym wiedzieć, o ile Ryder im nie powie, co wydawało się wątpliwe.

Kiedy zaniósła do jadalni pierwszą tacę, przystanęła w drzwiach i rozejrzała się po pokoju. Joshua rozmawiał z Shane'em o planach irygacyjnych. Max czytał gazetę.

Krzesło Rydera było puste.

Niestety, to wcale nie przyniosło jej ulgi. Chciała mieć już to pierwsze spotkanie „po” za sobą. Jak długo będzie musiała czekać? Czy Ryder pojawi się na obiedzie? Na kolacji?

- A, właśnie. - Shane wypił łyk kawy. - W stajni natknąłem się na Rydera. Kazał powiedzieć, że wyregulował ci zapłon w samochodzie. Pewnie właśnie go wypróbuje.

Essie nastawiła ucha.

- Naprawił to wczoraj wieczorem? - Joshua był wyraźnie zdziwiony. - Byłem pewien, że wybrał się do Purpurowego Pałacu.

Wszyscy mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- No, no! Ten facet ciągle mnie zadziwia. Już mi się wydawało, że go rozgryzłem, a tu nagle...

Och, Josh, jęknęła w duchu Essie. Co ty możesz o tym wiedzieć?

Obiad i kolacja też nie przyniosły Essie ukojenia. Ryder się nie pokazał. Miała ochotę na spacer, ale bała się, że gdzieś się na niego natknie. Kiedy pozmywała naczynia, napełniła dużą miskę domowymi lodami i poszła do siebie.

Za zamkniętymi drzwiami nareszcie odetchnęła z ulgą. Przynajmniej tu nie była zmuszona niczego udawać. Nie musiała się uśmiechać i robić dobrej miny do złej gry pomimo bólu rozrywanego na strzępy serca.

Usiadła w bujanym fotelu przy oknie, ale nie patrzyła na dwór. Skupiła się na kawałkach truskawek, orzechach i prawdziwej bitej śmietanie, którą połała lody. Była to już druga taka porcja tego dnia. A przedtem jeszcze ciasteczka i gorąca szarlotka Hanny. Essie rozpięła guzik dzinsów i podkurczyła nogi.

Niełatwo wyzbyć się starych nawyków. Od lat walczyła z tym, by w trudnych sytuacjach nie popadać w obżarstwo. Nawet kiedy z kimś zrywała lub traciła pracę, zachowywała dietę.

Ale rozpaczliwe sytuacje wymagają rozpaczliwych kroków. A w najbliższej przyszłości jedzenie będzie jej jedyną przyjemnością. Kiedy przed oczami stanął jej obraz Rydera pochylającego się nad nią tam nad strumieniem, szybko włożyła do ust ogromną porcję lodów i odsunęła od siebie to wspomnienie.

Kiedy miska była już pusta, pojawiły się wyrzuty sumienia, a potem rozpacz. W końcu o dziewiątej Essie nakręciła numer Jenny.

- Halo? - odezwał się po piątym dzwonku zaspany głos.

- To ja. Obudziłam cię? - Essie zupełnie zapomniała o różnicy czasu.

- Nie szkodzi. Zresztą i tak musiałam wstać, żeby odebrać telefon - parsknęła śmiechem Jenny, ale szybko spoważniała. - Co się stało, Savanno?

- Czy musiało się coś stać? Nie mogę do ciebie zadzwonić ot, tak? - odparła, czując, że za chwilę się rozpłacze.

- Savanno?

- O Boże, jaka szkoda, że cię tu nie ma! Tak bym chciała się do ciebie przytulić.

Po drugiej stronie zapanowała cisza i Essie myślała już, że połączenie zostało przerwane.

- Czy pojutrze nie będzie za późno? - odezwała się w tej samej chwili Jenny.

- O czym ty mówisz? Jeszcze się nie poddałam. - Essie mówiła szczerze, choć wiedziała, że szanse na wygraną są znikome.

- Może i nie, ale ja mam ochotę na wakacje. Chyba że nie chcesz, żebym do ciebie przyjeżdżała.

- Żartujesz! - Essie zerwała się z fotela, a dżinsy opadły jej do kolan. Parsknęła śmiechem, zaskoczona, że mimo wszystko nie opuściło jej poczucie humoru. - Ale czy na pewno możesz się wyrwać z pracy o tej porze roku?

- Mamy teraz całą grupę młodych praktykantów, a ostatnio dużo pracowałam po godzinach. A mieszkanie bez ciebie jest takie puste - dodała już prawie szeptem.

- Ale bilet na samolot...

- Nie martw się, przyjaciółko. Odłożyłam co nieco na czarną godzinę, a zresztą jeden z moich szefów chce akurat odstąpić komuś ulgowy bilet na wszystkie trasy. Dobrze się składa.

- Jak długo będziesz mogła u mnie zostać?

- Tydzień albo dwa. To zależy.

- Od czego?

- Jak długo ze mną wytrzymasz.

- To niech będą dwa. Może będę potrzebowała twojej pomocy przy przeprowadzce do innego domu.

Ledwo Essie wypowiedziała te słowa, zorientowała się, że popełniła błąd. Nie powiedziała jeszcze Jenny, że zostaje w Montanie, choć teraz bardziej niż kiedykolwiek była pewna, że nie będzie to ranczo Malone'ów.

- A więc miałam rację, co? - W głosie Jenny nie było radości. - Zostajesz w Montanie.

- Tak.

- Ale nie na ranczu?

- To długa historia, Jen. I nie na telefon. Porozmawiamy o tym w sobotę. A niech to!

- Co takiego?

- Zapomniałam, że w sobotę urządzają tu urodzinowe przyjęcie dla Rydera.

- No to przyjadę w niedzielę.

- To bez sensu. Zaczekaj moment. Niech się zastanowię. Zadzwoni, jeśli będziesz już wiedziała, kiedy przylatujesz. Poproszę Josha albo Shane'a, żeby któryś z nich wyjechał po ciebie. Ja, niestety, będę zbyt zajęta w kuchni, a podróż na lotnisko trwa co najmniej trzy godziny tam i z powrotem.

- Shane albo Josh, tak? W jakim są wieku? - Jennie wyraźnie wrócił dobry humor.

- Josh ma zaledwie dwadzieścia pięć, ale Shane trzydzieści dwa, czyli niewiele więcej od ciebie. Hm! Chyba jego poproszę pierwszego o pomoc.

- Sama nie wiem! Młodszy partnerzy są dziś w modzie.

Essie uśmiechnęła się do słuchawki.

- Boże, jak dobrze słyszeć twój głos.

- Przywieźć ci coś?

- Owszem! Trochę moich ubrań, ty paskudo. Nocami jest tu bardzo zimno. Marzę o flanelowych koszulkach.

Choć nie chciała teraz poruszać tego tematu, potrzebowała pomocy Jenny w jeszcze jednej sprawie. Oczywiście, tę rzecz

mogła kupić sama w mieście, ale nie wiedziała, kiedy uda jej się pojechać tam samej.

- I jeszcze coś. Proszę, o nic mnie teraz nie pytaj, obiecuję, że porozmawiamy o wszystkim, jak przyjedziesz, ale czy mogłabyś przywieźć... test?

- Aż się boję zapytać, ale o jaki rodzaj testu ci chodzi?

- Taki, którego wskaźnik czasami po kilku minutach zabarwia się na niebiesko.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zbiegając rano do kuchni, Essie była w zupełnie innym nastroju niż poprzedniego dnia. Nawet podśpiewywała coś pod nosem. Oczywiście, sytuacja z Ryderem nadal pozostawała nie wyjaśniona, ale teraz Essie przede wszystkim z radością czekała na przyjazd Jenny.

Hanna wyjęła już produkty z lodówki i zaczęła przygotowywać śniadanie.

- Dziś towarzystwo mamy trochę mniej liczne. Josh wpadł tu przed chwilą, porwał termos z kawą oraz kilka bułeczek i gdzieś pognął. Ryder wczoraj nie wrócił na noc, więc i jego chyba nie będzie.

To dobrze, ucieszyła się w duchu Essie i zabrała się do smażenia grzanek. A niech się Ryder ukrywa. Wieczorem i tak będzie musiał pojawić się na swoich urodzinach. Zresztą ona i Jenny zaraz po sprzątnięciu ze stołów skryją się na górze.

W kuchennych drzwiach pojawił się Shane, skinął im głową i nalał sobie kawy do kubka.

- Shane? - Essie nie chciała mu się narzucać, ale nie miała wyboru. - Mam do ciebie wielką prośbę.

Shane spojrzał na nią znad parującego kubka, wypił łyk kawy i czekał. Nie lubił gadać po próżnicy. Biedna Jen! Ta podróż będzie dla niej męczarnią.

- Moja przyjaciółka przyjeżdża do mnie w odwiedziny.

- A co to ma wspólnego ze mną? zdawał się mówić jego wzrok. - Przylatuje dziś przed południem.

- A ja nie mogę zwolnić Essie nawet na sekundę - wtrąciła się Hanna. - Bądź tak taki miły i pojedź na lotnisko.

- O której? - spytał po prostu Shane.

- Jedenasta trzydzieści. W Billings. Zapisałam numer lotu i jej nazwisko na odwrocie zdjęcia. - Essie sięgnęła do kieszeni i wyjęła fotografię Jenny. Shane wziął ją od niej i przez chwilę przyglądał się ładnej, opalonej kobiecie o brązowych oczach i bardzo ciemnych włosach.

- Jedenasta trzydzieści? - Shane spojrział na zegarek. - Rano muszę zająć się końmi, ale powinienem zdążyć - dodał, jeszcze raz spoglądając na zdjęcie.

- To dobrze. - Hanna poklepała go po ramieniu. - A jak już będziesz w mieście, to kupisz mi parę rzeczy.

Shane wznosił oczy do nieba.

- O, nie! Wiesz, że nie znoszę zakupów. I zupełnie się na nich nie znam.

- Ale Jenny tak - wtrąciła się Essie. - Uwielbia chodzić po sklepach. Szczególnie spożywczych. Gotowanie to jej pasja. Z tego żyje. Naprawdę - dodała, widząc powątpiewanie w oczach Shane'a. - Jest znakomitą kucharką. To ona nauczyła mnie wszystkiego, co umiem.

Hanna najpierw parsknęła śmiechem, a potem zrobiła na kartce spis potrzebnych produktów.

Shane też się uśmiechnął, ale zyczliwie. Essie wiedziała, że jej umiejętności kucharskie są przedmiotem żartów całej rodziny, ale nie mogła mieć o to do nikogo pretensji. Jenny na pewno im to wynagrodzi. Może nawet jeszcze dziś wieczorem.

Kiedy Shane wycofał się do jadalni, Hanna wyprostowała się i pomasowała sobie krzyż.

- Muszę jeszcze zmienić pościel i wyszorować łazienki
- powiedziała znużonym głosem. - Dasz sobie tu radę beze mnie?

- Może ja się tym zajmę po śniadaniu, co? Widzę, że nie czujesz się najlepiej.

- Wcale się nie skarzę. To tylko zwyczajne lumbago. Zresztą roboty wystarczy dla nas obu. Trzeba przygotować dawny pokój Shane'a dla twojej przyjaciółki.

- Tym się nie kłopotcz, Hanno. Jenny zamieszka u mnie. Mamy sobie tyle do powiedzenia.

- No, niech będzie. Wiesz, że Ryder mnie wkurzył. Dzwonił rano, żeby się upewnić, że w jego pokojach będą kwiaty i świeża pościel. Wyobraź sobie! Wcale mi się to nie podoba. Wcale!

- Hanna znów pomasaowała sobie krzyż i spojrzała na Essie.

- Już chyba wiem, od kogo słyszałam o tej Maddy i to raczej paskudne rzeczy. Szkoda biednego Rydera!

Wciąż mrucząc coś pod nosem, poczępała na tyły domu, zostawiając Essie z nie najprzyjemniejszymi myślami. A więc Maddy i Billy zostają tu na noc. Ciekawe, jak będą rozlokowani? Może Ryder prześpi się w dawnym pokoju Shane'a albo w chatce starego Indianina.

Akurat!

Jenny przyglądała się uśmiechniętym twarzom rodzin i przyjaciół, czekających na pasażerów jej samolotu. Ciekawe, czy rozpozna Shane'a. Savanna mówiła, że on ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy i oczy. Miał też mieć na głowie kowbojski kapelusz.

Dobre sobie! Przecież tu połowa facetów nosi takie kapelusze.

Jenny stanęła z boku, żeby nie tamować ruchu, i zdjęła z ramienia ciężką torbę. Tłum zaczynał się przeredzać. Dro-

gą eliminacji postawiła na przystojnego, samotnego kowboja i ciągnąc za sobą torbę, podeszła w jego stronę.

- Czy to ty jesteś Shane? - spytała odważnie.

Na twarzy kowboja pojawiło się coś podobnego do uśmiechu.

- Jestem, jeśli ty jesteś Jenny.

- A jeśli nie jestem?

- To nie będę musiał wysilać się na uprzejmości... - Mężczyzna spojrział na trzymane w rękę zdjęcie i uśmiechnął się szerzej. - Hmm...

- Hm? - O co mu chodzi?

- Na zdjęciu wyglądasz na opaloną, ale teraz widzę, że masz po prostu ciemny kolor skóry. W twych żyłach płynie indiańska krew, tak?

- Nie miałam na to wpływu. - A w ogóle to nie twoja sprawa, dodała w myślach.

Shane przez chwilę przyglądał jej się uważnie, potem zarzucił na ramię jej torbę i ruszył ku wyjściu.

- To szkoda - mruknął.

Czego szkoda? Tego, że miała w sobie indiańską krew, czy że się tego wstydziła? Właściwie było jej wszystko jedno.

Essie nagle usłyszała głuchy łomot, a potem przejmujący jęk. Odstawiła na blat miskę, którą akurat wycierała, i pędem wybiegła z kuchni. Miała nadzieję, że Hanna nie zrobiła sobie krzywdy. Z drugiej strony holu wybiegł Max i to on pierwszy wpadł do pokoju Rydera.

Hanna klęczała obok łóżka, na jej czole błyszczały krople potu.

- Możesz wstać, Hanno? - Max był już przy niej.

- Czy myślisz, że ja sobie tu odpoczywam? - mruknęła przez zaciśnięte z bólu zęby Hanna.

- Weź ją pod jedno ramię, ja chwycę drugie - zwrócił się Max do Essie. - Na trzy podniesimy ją do góry.

- Ciekawe, jak sobie poradzicie z taką górą tłuszczu - próbowała żartować Hanna, ale żadne z nich nie dało się nabrać. Wiedzieli, że sprawa jest poważna.

- Z twoją pomocą, Hanno. Raz, dwa, trzy.

- Auaaa!

Wolniutko, krok po kroku, odbyli podróż do jej pokoju.

Max zachowywał się jak rasowa pielęgniarzka. Znalazł ręczniki i, ciasno zrolowane, ułożył w strategicznych miejscach - pod karkiem, kolanami i kostkami chorej.

- Już lepiej - westchnęła z ulgą Hanna. Głowę trzymała nieruchomo, a wzrok miała utkwiony w sufit. - Bardzo wam dziękuję. A teraz, Maxwell, chętnie skorzystam z jednego z tych twoich proszków.

- Lek rozkurczowy, raz! Już się robi, szanowna pani - zaśmiał się Max.

Essie znów zaczęła się zastanawiać, czemu od tylu lat stosunki między Ryderem a ojcem są takie trudne. Przecież Max to dobry człowiek. Czasami uparty i despotyczny, traktujący synów jak dzieci, ale życzliwy i serdeczny, szczerze oddany swemu lekarskiemu powołaniu.

Całe dni spędzał w swoim gabinecie z tyłu domu, składał kowbojom połamane ręce i nogi, leczył katar ich dzieci, opiekował się żonami. Kiedy chłopcy byli mali, jego zawód wymagał pracy poza domem, ale to nie mogło być powodem trwającej tyle lat zimnej wojny. Tylko Joshua zachowywał się inaczej. Czyżby wiedział o czymś, o czym nie wiedzieli pozostali? A może to właśnie on nie znał prawdy o swoim ojcu?

Hanna wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Essie, przerywając te jałowe rozmyślenia.

- Przepraszam cię, panienczko. Przez co najmniej kilka dni będziesz musiała sobie radzić sama.

- Nie martw się, Hanno. Wszystko będzie dobrze. Przecież za chwilę zjawi się Jenny, a to prawdziwy fachowiec.

W tej samej chwili wrócił Max - z pigułką, szklanką wody i specjalnie wygiętą słomką.

- Proszę, moja droga. - Wprawnym ruchem wsunął rękę pod kark Hanny i pomógł jej przyjąć lek. Potem delikatnie pogładził kręcone, siwe włosy. - Odpoczywaj sobie spokojnie i o nic się nie martw.

- Może chcesz się trochę oderwać od codzienności? - spytała Essie, podając jej pilota od telewizora.

- A wiesz, że chętnie. Patrząc na problemy innych, zapomina się o własnych.

- Masz ochotę na coś do jedzenia albo picia?

- Nie, dzięki. Może później.

Hanna przytknęła oczy, a Max i Essie opuścili pokój.

Poszli razem korytarzem do gabinetu Maksa. Essie była w tej części domu pierwszy raz. W poczekalni nie było nikogo i Max z westchnieniem ulgi zasiadł za biurkiem w ogromnym, skórzanym fotelu. Ręką wskazał Essie krzesło po drugiej stronie.

- Często jej się to zdarza? - spytała.

- Niezbyt. Od poprzedniego razu minął już chyba rok.

- Ale wyjdzie z tego, prawda?

- Hanna przeżyje nas wszystkich - roześmiał się Max.

- Poleży kilka dni w łóżku i będzie jak nowa. Problem polega na tym, że się przemęcza i nigdy nie odpoczywa. I kto to mówi - dodał, z niesmakiem patrząc na sterty papierów, zawałające biurko. - Popatrz na ten bałagan. Ja też nie mam czasu, żeby choć trochę to wszystko uporządkować.

Essie rozejrzała się wokół. Na półkach pełno było różnych

pism i skoroszytów, na podłodze też leżały sterty papierów. Segregatory, każdy w innym kolorze, nie miały żadnych nalepek i nie były nawet opisane. Temu człowiekowi przydała-by się dobra sekretarka. Wszystko trzeba by tu uporządkować, odkurzyć i posegregować

- Essie? Nad czym się tak zastanawiasz?

Zerwała się z krzesła i zaczęła spacerować po pokoju. Tak! Razem z Jenny dadzą radę wszystko jakoś zorganizować. Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek zatekni za swoim prawdziwym zawodem. Za pracą biurową, pisaniem na maszynie, wypełnianiem formularzy, przygotowywaniem pism. To potrafiła naprawdę dobrze.

Bojąc się, że za chwilę opuści ją odwaga, stanęła przed Maksem i mocno zacisnęła ręce na oparciu krzesła.

- Muszę przyznać, że nie byłam z wami szczerą.

Max uśmiechnął się, wcale nie zdziwiony jej wyznaniem. Tym zachęcił ją do dalszych wyznań.

- Ja wcale nie jestem kucharką. Bardzo cię przepraszam. Musiałam zdobyć tę pracę. Przez prawie dwanaście lat byłam sekretarką. I to bardzo dobrą.

- Nie wątpię - uśmiechnął się znów Max.

- Jenny, moja przyjaciółka, która dziś przyjeżdża, jest znakomitą kucharką.

Tu Essie na moment się zawahała. Przecież najpierw powinna o tym porozmawiać z Jenny. Było już jednak za późno. Zaczęła tę rozmowę i powinna ją dokończyć.

- Mogłabym przejść od Hanny sprzątanie... i chętnie zajęłabym się tymi papierami. Ja... to znaczy...

- Nie przejmuj się, Essie, nie czuję się urażony. Dobrze wiem, jaki tu bałagan. Będę ci bardzo wdzięczny, jeśli zajmiesz się „tymi papierami”. Ale jesteś pewna, że starczy ci czasu?

Podniecona tą perspektywą, Essie przysiadła na krześle.

- Jeśli Jenny zgodzi się gotować, to na pewno znajdę czas.

I w dodatku od razu lepiej się poczuję, dodała w duchu. Porażki w kuchni i na polu uczuciowym bardzo nadwerżyły jej szacunek do samej siebie.

- A więc zgoda. - Max wstał zza biurka, podszedł do Essie i położył jej rękę na ramieniu. - Jestem pewien, że mój gabinet wkrótce będzie najlepiej uporządkowany w całej Montanie.

- Dziękuję, Max.

Chciała mu opowiedzieć resztę swej historii, ale ryzyko było zbyt duże. Zresztą może nawet nie warto, bo stosunki między nią i Ryderem pewnie nigdy się nie ułożą.

- Jest tylko jedna sprawa - rzekł nagle bardzo serio Max. - Karty moich pacjentów są poufne. Tego, co tutaj zobaczysz, nigdy i nikomu nie możesz powtórzyć.

- Rozumiem - odparła równie poważnie Essie. - Obiecuję!

Max leciutko poklepał ją po ramieniu.

- To dobrze. A więc postanowione! Możesz zaczynać, kiedy zechcesz.

Zostawił ją samą, stojącą pośrodku gabinetu. Essie jeszcze raz rozejrzała się dokoła. Gdyby nie wieczorne przyjęcie, już w tej chwili zabrałaby się do pracy. Trzeba było jednak posłać łóżko Rydera. I ściąć kwiaty dla Maddy.

Postanowiła nie rozmyślać o czekających ją obowiązkach. Może Ryder po prostu chce, by Maddy dobrze się tu czuła. Pewnie dlatego spędzą tu noc, żeby Ryder miał więcej czasu dla Billy'ego. W stajni czeka przecież kucyk. Zapewne Ryder zamierza dać go chłopcu właśnie w ten weekend.

W sumie było to nieistotne. Essie wróciła do mieszkania Rydera i skończyła słać gościnne łóżko. Potem przeszła do sypialni,

która bez wątpienia należała do Rydera. Było tam kilka pa-
miątek z czasów jego studiów w Uniwersytecie Stanowym
w Montanie, ale oprócz tego pokój ten równie dobrze można
by wziąć za hotelowy apartament, gdyż taki był bezosobowy.
Widać było, że jego właściciel mieszka tu od niedawna.

Essie rozłożyła na materacu świeże prześcieradło i ob-
chodząc łóżko dokoła, podwijała je dokładnie. Przy ostat-
nim rogu, w głowie łóżka, zauważyła na wezgiłowiu wyryte
nożem maleńkie serduszko. W środku były jakieś dwie litery.
Były tak zatarte, że musiała się nachylić, żeby je odczytać.

SS!

Jej serce zaczęło bić szybciej. Uklękła na podłodze i wy-
tężając wzrok, szukała jeszcze czegoś. Daty. Niczego więcej
jednak nie znalazła.

Przysiadła na piętach i zamknęła oczy. Wolałaby nie
znaleźć tych inicjałów. Ile kobiet na świecie ma inicjały SS?
Tysiące, może nawet miliony. Może Ryder jest wielbicielem
na przykład Sharon Stone?

Jakiś cichy głosik w jej wnętrzu szeptał, że to bzdura.
Stone stała się popularna dopiero w latach dziewięćdziesią-
tych, a dorosły Ryder na pewno nie wyciąłby sobie na wez-
giłowiu inicjałów ulubionej aktorki.

Mógł to zrobić tylko nastolatek.

Nie, dość! Od tamtej pory minęło już dwanaście lat. Tyle
się w tym okresie zdarzyło. Między innymi pojawiła się Mad-
dy i Billy.

Billy. Czy ten płowowłosy chłopczyk może być synem
Rydera?

Nie. Dziś nie powinna sobie pozwalać na takie rozmyśla-
nia. Robota czeka. I im szybciej Essie sprzątnie ten pokój,
tym lepiej.

Shane wziął prysznic, ogolił się, włożył nowe, brązowe spodnie i beżowy sweter z krótkimi rękawami. Wmawiał sobie, że szykuje się tak na urodziny Rydera, ale w głębi duszy przyznawał, że chce zrobić dobre wrażenie na Jenny. Mimo że nie wyglądała na taką, która ocenia ludzi po wyglądzie.

Była w niej jakaś pewność siebie, która spodobała mu się od pierwszej chwili. Podczas gdy Essie była skryta i tajemnicza, Jenny zdawała się mieć na wszystko odpowiedź i potrafiła cieszyć się życiem. Po drodze z lotniska na rancho zachwycała się wszystkim - pasącym się łosiem, przemykającą antylopą i dostojnym jeleniem. I, w odróżnieniu od Essie, wydawała się wprost stworzona do życia wśród dzikiej przyrody. Jej ciemna skóra była odporna na słońce i wiatr. A te ogromne jak u łani oczy...

Przez szklane drzwi werandy zauważył siedzącego tam z fajką Czarnego Kruka. Patrzył ku północy, gdzie piaszczyste, kręte drogi wiodły ku letnim pastwiskom. Zbliżała się już pora, kiedy, jak co roku, trzeba będzie popędzić tam całe bydło. Indianin wyraźnie nie mógł się już tej chwili doczekać.

- Wkrótce ruszamy - mruknął starzec, kiedy Shane usiadł obok niego.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Shane wiedział, o co stary za chwilę zapyta. Do kolacji zostały jeszcze dwie godziny i miał ochotę spędzić je w towarzystwie tego dobrego, choć szorstkiego człowieka. Indianin jeszcze przed urodzeniem Shane'a i jego braci opuścił rezerwat w poszukiwaniu pracy przy swych ukochanych koniach. Już od wielu lat mieszkał na ranczu Malone'ów.

- Skąd się wzięła ta gołąbeczka? - padło w końcu spodziewane pytanie.

- Z Detroit - uśmiechnął się Shane.

- Zła Kucharka też jest stamtąd.

- Jenny mówi, że żadna z nich tam nie mieszkała. Że to tylko najbliższe lotnisko.

- A więc z Ann Arbor?

- Nie.

Ann Arbor było pewnie jedynym, oprócz Detroit, miastem w Michigan, o którym Kruk słyszał. To tam Max pracował jako wykładowca w akademii medycznej w ciągu trzyletniej przerwy w swym niezbyt szczęśliwym małżeństwie.

- Nie, chyba z Waterford.

Nagle leniwą ciszę późnego popołudnia zakłóciły wesołe żeńskie głosy. Łąką szły ku nim Essie i Jenny.

- To musi być bardzo biedna wioska - mruknął Indianin.

- Dlaczego?

Czarny Kruk najpierw wskazał palcem na dziewczyny, potem na swój brzuch.

- Brakuje im tam materiału. Góra nie łączy się z dołem. Noszą ubrania po młodszych siostrach. I szorty. Popatrz, jakie dziurawe.

Shane parsknął cichym śmiechem.

- Taka teraz moda, staruszk. Takie już się kupuje.

- Waterford to bardzo dziwne miejsce.

Shane nie słuchał. Zapatrzony był w Jenny, niosącą ogromny bukiet żółtych astrów, maków, chabrow i rumianków. Tuż przed werandą dziewczyny przez chwilę o czymś poszeptały, potem bukiet przejęła Essie i to ona z nieśmiałym uśmiechem wręczyła go Shane'owi.

- Dziękuję za przywiezienie Jenny z lotniska.

- Nie ma za co. - Chciał jeszcze dodać: „Cała przyjemność po mojej stronie”, ale uznał, że byłaby to przesada.

- Zabiłyście je - mruknął ponuro Indianin.

Dziewczyny spojrzały na niego zaskoczone.

Shane spuścił głowę. Wstyd mu było za brak delikatności przyjaciela.

- Ma na myśli kwiaty - wyjaśnił.

Essie zarumieniła się, ale Jenny nie dała się zbić z tropu.

- Jeśli macie wazon, to zaraz ożyją - odparła.

- Dobrze, wstawimy je do wody - zgodził się bez przekonania Kruk. Z ponurą miną wstał z fotela i ruszył ku drzwiom. - Ale jutro albo pojutrze umrą. Gdyby zostały w ziemi, żyłyby jeszcze długo.

- Przepraszam pana! - zawołała za nim Essie. - Hanna prosiła, żeby pan też przyszedł dziś na przyjęcie.

- Powiedz Hannie, że innym razem.

Stary dokładnie zamknął za sobą drzwi i Shane wiedział, że nie wyjdzie, dopóki będą tu dziewczęta. Wiedział też, że nigdy nie usiądzie przy jednym stole z Maksem. Owszem, byli dla siebie uprzejmi, ale nigdy nie jadali razem. I to nie Max był temu winien, lecz Indianin, który zawsze odrzucał zaproszenie.

- Zaraz wstawię je do wody - zwrócił się Shane do Jenny i Essie. - Dziękuję - dodał, patrząc prosto w ciemne oczy Jenny.

- Musimy wracać do kuchni. - Essie pociągnęła Jenny za rękę. - Zobaczysz, jakie super będzie dziś jedzenie! - powiedziała na odchodnym.

Shane powstrzymał się od wyrażenia wątpliwości.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Essie i Jenny wzięły prysznic i przebrały się w czarne spodnie i bluzki, które ożywiły białymi, krochmalonymi fartuszkami, znalezionymi w starej komodzie. Postanowiły perfekcyjnie odegrać swoje role, obsługując kowbojów w sposób, do którego na pewno nie byli przyzwyczajeni. Miała to być znakomita zabawa. Tak powiedziała Jenny. Chciała, by choć przez parę godzin Essie nie myślała o Ryderze i Maddy. Za obopólną zgodą o szczegółach wydarzeń minionego wieczora miały porozmawiać dopiero późnym wieczorem, kiedy już nikt ani nic nie będzie im przeszkadzać.

W pokoju Rydera Essie ustawiła lilie, które sama ścięła. Była za dziesięć szósta. Goście zaczną się schodzić lada moment. Drżącymi palcami poprawiła poduszki i nie oglądając się za siebie, opuściła pokój. Lepiej pomoże Jenny przygotowywać przekąski.

W kuchni nigdy jeszcze tak cudownie nie pachniało. Na blacie stały świeżo wyjęte z pieca blachy z pasztecikami, obok czekały na swoją kolej faszzerowane pieczarki. Zgodnie z instrukcjami Maksa, w kubełkach z lodem chłodziły się wina i szampany.

Zapach cebuli, sera i pieczonych kartofli wywołał gwałtowną reakcję żołądka Essie. Chyba jednak skusi się na małe co nieco.

- Och, Jenny! Ależ się zdziwią! Wszystko wygląda bosko i pachnie tak apetycznie. - Essie podeszła do przyjaciółki

i objęła ją w pasie. Jenny przełamała na pół kanapkę, połowę włożyła do ust Essie, drugą zjadła sama.

- Szkoda, że nie mam prawdziwej kucharskiej czapy - powiedziała ze śmiechem Jenny. - Dopiero byśmy ich zaskoczyły.

Kiedy do kuchni zajrzał Max, ubrany w eleganckie, świeżo wyprasowane spodnie i koszulę, już w progu stanął jak wryty.

- Własnym oczom nie wierzę! - rzekł, rozglądając się dokoła. - Essie, owszem, mówiłaś, że twoja przyjaciółka umie gotować, ale to, co widzę, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

- Bo ona naprawdę jest fachowcem i to najlepszym na świecie - oznajmiła z dumą Essie. - Max, to moja przyjaciółka, Jenny Moon. Jenny, to Max Malone, ojciec Ry... to znaczy Shane'a. Jenny już zna Shane'a. Był tak uprzejmy, że pojechał po nią na lotnisko. I całe szczęście, bo przecież Hanna... - Wiedziała, że papie bez sensu, ale im bliżej było do przyjazdu Rydera, tym bardziej była zdenerwowana. - A, właśnie, skoro już o Hannie mowa... Wy się poznajcie, a ja tymczasem zaniosę jej trochę tych pyszności.

Hanna leżała teraz na boku i chyba była w lepszej formie.

- No, myślałam, że się już nie doczekam - mruknęła. - W całym domu tak pachnie, że od godziny ślinka mi leci. No, no! - Tak zareagowała na pierwszy kęs pasztecika. - Pycha.

Z holu dobiegły ożywione głosy, Essie zdobyła się więc tylko na słaby uśmiech i szybko wróciła do kuchni.

- Jenny! - szepnęła. - Chyba już są. Nie chcę być dla niego miłą. A już tym bardziej dla tej kobiety.

- Ale będziesz - odparła Jenny, mieszając sałatę. - Zamęcz go uprzejmością. Zaufaj mi. Twoja uprzejmość sprawi,

że ogarną go wyrzuty sumienia i będzie mu jeszcze bardziej głupio niż tobie. Na pewno dasz sobie radę.

- Nie jestem tego taka pewna.

- To udawaj, że jesteś mną. Trochę bezczelności nigdy nie zaszkodzi. Chodź, nalejemy wino i szampana. Ja wezmę tacę z przekąskami, ty napoje. Już się nie mogę doczekać, kiedy zobaczę tego twojego ogiera.

Mimo wszystko Essie miała przeczucie, że ten wieczór okaże się jeszcze gorszy, niż się spodziewała. Z jednej strony pierwsze, odkąd się kochali, spotkanie z Ryderem powinno być łatwiejsze w tłumie ludzi. Jednak w tym tłumie miała być Maddy i Billy. A ich roli w życiu Rydera Essie wciąż nie była pewna.

Jenny poszła pierwsza, łokciem otwierając kolejne drzwi. W salonie na kominku płonął ogień, stał przed nim Ryder, z jedyną obecną w pokoju kobietą, do której przytuliła się mały chłopczyk. Na ten widok Essie zrobiło się bardzo smutno. Współzawodnictwo z Maddy to jedno, ale jak rywalizować z takim uroczym dzieckiem? Nie! Wiedziała, że od razu jest na straconej pozycji. Widząc jej minę, Jenny szturchnęła ją w bok, uniosła głowę i wyprostowała ramiona, nakazując jej zrobić to samo.

Max zauważył ich wejście, podszedł bliżej i położył rękę na ramieniu Essie.

- Moi drodzy... - zaczął, chcąc zwrócić na siebie uwagę pozostałych.

Stojąca przy kominku trójka zwróciła się w jego stronę, ale tylko jedna para oczu skierowała się na Essie. Były to oczy Maddy. Na jej wychudzonej, bladej twarzy jasnorożowe usta były jedyną kolorową plamą. Długie, proste blond włosy spływały falą na szczupłe ramiona.

Essie zmusiła się do lekkiego, uprzejmego uśmiechu, po-

tern szybko odwróciła wzrok. Zauważyła stojącego przy oknie Shane'a, wpatzonego w Jenny. Obok niego siedział Josh. Tylko on z całej rodziny zachowywał się normalnie i swobodnie.

- Maddy i Billy, poznajcie Essie - mówił Max, nieświadomy znaczenia tej chwili. - A to przyjaciółka Essie, która dopiero przed chwilą przyjechała do nas z Michigan. Jenny Moon.

Essie zauważyła, że na wspomnienie Michigan Ryder marszczy brwi, ale zanim zdążyło ją to zaniepokoić, z wyciągniętą ręką stanął przed nią Billy.

- Miło mi cię poznać, Essie. - W jego błękitnych oczach była jakaś głęboka, dojrzała mądrość. I smutek.

- Mnie też, Billy.

- Witaj w Montanie, Jenny. - Chłopiec stał teraz przed Jenny.

- Dzięki, Billy. - Jenny nachyliła się ku niemu i podsunęła mu tacę. - Poczęstuj się.

Chłopiec przez chwilę przyglądał się apetycznym kanapkom, potem wybrał jedną.

Essie zauważyła, z jaką czułością Maddy spogląda na synka, i zrozumiała, że nie będzie w stanie zniechęcić tej kobiety. Choćby nie wiadomo jak bardzo tego chciała. Kiedy jednak Ryder wziął rękę Maddy i uściśnął ją, Essie wolała odwrócić wzrok. Skupiła się na częstowaniu gości napojami. Max wziął lampkę szampana, Josh i Shane po kieliszku wina. I w końcu przyszła kolej na Rydera.

- W tych wysokich kieliszkach jest szampan. W niższych wino. Chyba że masz ochotę na coś innego - wyjąkała, nie odrywając oczu od tacy.

- To mi wystarczy - odparł, biorąc szampana.

Ryder i szampan? Maddy też wzięła lampkę.

- Podajemy też colę z cytryną. Masz ochotę? - Teraz Essie pochyliła tacę ku Billy'emu. - A może wolałbyś sprite'a?

- Nie, nie, dziękuję - odparł z uśmiechem Billy. Brak zęba na samym przodzie dodawał mu tylko uroku.

Czując, że za chwilę się rozpłaczę, Essie ruszyła ku drzwiom. Wierna Jenny podażyła za nią.

- Zostańcie z nami i wypijcie zdrowie jubilata - powstrzymał je Max. - Bardzo proszę.

Jenny zablokowała drzwi i wzrokiem skarciła Essie.

- Wiem, że to wy wszystko dziś przygotowałyście - ciągnął Max - ale chciałbym, byście poczuły się częścią naszej rodziny. Jeden drink nawet paniom kucharkom nie zaszkodzi, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie - zaśmiała się Jenny, podając Essie lampkę.

- A więc zdrowie Rydera - rzekł Max, spoglądając na swego średniego syna. - Niech ten dzień będzie dla ciebie początkiem najlepszych lat twego życia.

- Brawo, brawo! - zawołał Josh.

Ryder uniósł kieliszek, a potem wypił jego zawartość do dna.

- Sto lat, sto lat... - zaintonował nieśmiało Billy.

Kiedy pieśń się skończyła, zabrał głos Ryder.

- Skoro już jesteśmy w nastroju do toastów... - zaczął, ucisnął rękę Maddy i spojrzał na Billy'ego - mamy dziś jeszcze jedną okazję do świętowania. Będzie można przeczytać o tym w jutrzejszej gazecie, ale pomyślałem sobie, że wy akurat powinniście wiedzieć o tym pierwsi.

Essie zrobiła krok do tyłu i wpadła na Jenny. Czuła, że natychmiast musi opuścić ten pokój. Było jej gorąco i coraz bardziej duszno.

Ryder uniósł kieliszek i, choć mówił do wszystkich, patrzył na ojca.

- Chciałbym, żebyśmy wypili zdrowie mojej przyszłej żony... i mojego syna. Maddy i Billy'ego, wkrótce Malone'ów.

Gdyby nie mocno zaciśnięta na jej ramieniu ręka Jenny, Essie bez wahania wybiegłaby z pokoju. Przecież to ona powinna być na miejscu Maddy, to ona powinna przyjmować gratulacje.

Moja przyszła żona i mój syn, powtórzyła w duchu. Maddy i Billy Malone. Maddy i Billy Malone. Maddy i Billy Malone!

Słowa te wyparły z jej głowy wszystkie inne myśli. Jak to możliwe? Przecież zaledwie dwa dni temu on... Oni.

Nagle oczy Rydera napotkały jej wzrok. Dostrzegła w nich coś, czego nie potrafiła zrozumieć. Błaganie i smutek. Czego on od niej chce? Przebaczenia? Zrozumienia? Ale czy jakiegokolwiek słowa mogłyby uśmierzyć ten nieznośny ból?

Essie zakręciło się w głowie. Poczula się jak na karuzeli w wesołym miasteczku, tyle że w jej obecnej sytuacji nie było jej wcale wesoło.

Przytomna Jenny szybko wyprowadziła ją do kuchni, gdzie Essie od razu wybuchnęła płaczem.

- Dlaczego? Dlaczego? - szlochała, przytulona do przyjaciółki. - Dlaczego nie znalazłam go wcześniej? Dlaczego czekałam tak długo? Za długo!

Kiedy w końcu, wyczerpana, opadła na krzesło, milczały obie. Słowa pocieszenia nic by tu nie pomogły.

Obie wiedziały, że sprawy już nigdy nie ułożą się po myśli Essie.

Essie wytarła oczy i nie widzącym wzrokiem zapatrzyła się w przestrzeń. Zadzwonił minutnik i Jenny wyjęła z pie-

karnika kolejną blachę z pasztecikami. Postawiła ją na blacie i przyklęła przed Essie.

- Tak mi przykro, maleńka - szepnęła. - Wiesz co? Ja już sama dam sobie radę z kolacją. Zanieś Hannie trochę naszych smakołyków, a potem idź do siebie. Lepiej, żeby cię nikt nie widział w tym stanie.

Essie nie miała siły, by z nią dyskutować. Po prostu kiwnęła głową i wytarła twarz podaną przez przyjaciółkę chusteczką.

Jenny opuściła kuchnię z kolejną tacą, a ona siedziała nadal nieruchomo jak sparaliżowana. Nie była w stanie się ruszyć. A może to sen? Może za chwilę się przebudzi?

Nawet nie wiedziała, jak długo tak tkwiła bez ruchu. W końcu odgłosy dochodzące z salonu stały się nie do wytrzymania. Zatykając uszy, pobiegła prosto do pokoju Hanny. Stała obok łóżka i znieruchomiała. Na szczęście odgłosy przyjęcia były tu o wiele cichsze.

- Essie?

Szorstki głos Hanny nie od razu do niej dotarł.

- Chodź, dziecinko, usiądź tu przy mnie. - Hanna poklepała kołdrę.

Essie zrobiła krok w jej stronę.

- No, chodź! Wyglądasz, jakbyś straciła ojca i matkę.

Essie spojrzała na jej szczerze zmartwioną twarz. Nie była już w stanie dłużej powstrzymać łez. Po prostu stała tak przy łóżku, drżała i płakała. Było jej wszystko jedno, co Hanna sobie pomyśli.

Z wyraźnym wysiłkiem Hanna usiadła na łóżku i wyciągnęła ku niej ramiona. Essie nie dała się długo prosić. Uklękła na podłodze i wtuliła się we flanelowy szlafrok starej gospodyni. Hanna milczała i tylko gładziła ją po włosach. Dopiero po bardzo długiej chwili Essie uniosła głowę i spojrzała w pełne współczucia oczy.

- Mnie możesz wszystko powiedzieć.

Essie wyciągnęła z kieszeni fartucha kolejną chusteczkę i wytarła nią oczy.

- Na pewno jesteś głodna. - Chciała wstać, ale Hanna chwyciła ją za nadgarstek.

- Kolacja nie zając. O co chodzi, panienczko? Nie chcesz mi powiedzieć?

- To bardzo długa historia.

- A czy ja wyglądam na taką, która się spieszy?

Essie poddała się.

- Po pierwsze, nie jestem kucharką, ale to już i tak wiesz.

- Hanna uśmiechnęła się i poczekała, aż Essie wydmuchanos. - Przyjechałam tu, żeby odnaleźć Rydera.

- Wiesz, chyba wysłucham tego na leżaco. - Essie pomogła Hannie się położyć i usiadła obok na krześle.

- Chodziliśmy razem do szkoły. W Detroit.

- Ryder nigdy o tym nie mówił.

- On mnie nie pamięta. To znaczy... Teraz wyglądam zupełnie inaczej, więc mnie nie poznał.

Już po pierwszych słowach Essie poczuła wyraźną ulgę. Mówiła i mówiła, a Hanna słuchała z szeroko otwartymi oczami.

- A potem, kilka dni temu, kiedy mnie pocałował... - Tę część opowieści postanowiła nieco ocenzurować - pomyślałam, że jemu też na mnie zależy. Chciałam mu powiedzieć, kim jestem, ale od tamtej pory mnie unika.

- No tak, ale przecież możesz mu powiedzieć teraz. Maddy zniknie i...

- Nie! - Essie wcale nie chciała krzyknąć, ale to było silniejsze od niej. - Ona nie zniknie. A jeśli nawet, to on razem z nią.

- Czy ty coś przede mną jeszcze ukrywasz, panienczko? Mów, dziecko.

Essie spojrzała na tę starą, pocziwą kobietę, wiedząc, że wcześniej czy później Hanna i tak o wszystkim się dowie. Może więc lepiej powiedzieć całą prawdę. Ujęła Hannę za rękę i spojrzała jej w oczy.

- Ryder i Maddy... - zaczęła i zaczerpnęła tchu. Potem dorzuciła już szybko: - Oni się zaręczyli. I mają syna, Billy'ego.

- Nie! - Staruszka chciała usiąść, ale z jękiem opadła na poduszki. - O, nie. Nie mój Ryder. - Oczy jej zwilgotniały. Essie poczuła, że i ona za chwilę zacznie płakać. - Tak bliski jest mi ten chłopak. Od śmierci matki jest taki zagubiony. Nie, nie! - Hanna potrząsnęła głową. - Dziecko nie może być jedynym powodem małżeństwa. Zresztą nie wierzę, że przez te lata nikomu by o swoim synu nie powiedział... Jeden błąd nie usprawiedliwia następnych. To może trochę potrwać, Essie, ale wierz mi, ten chłopak w końcu się opamięta. Zapamiętaj moje słowa. On nigdy nie poślubi tej kobiety. Ja to czuję.

- Hanno?

- Nie płacz. Trzeba tylko trochę poczekać. Pożyjemy, zobaczymy - powtórzyła z przekonaniem Hanna.

Essie drzemała, kiedy Jenny wsunęła się pod kołdrę.

- Jak się czujesz, maleńka?

Essie zamrugała parę razy powiekami i przeciągnęła się jak kotka. Była zbyt zmęczona na długą rozmowę, na którą jeszcze niedawno tak bardzo się cieszyła.

- Powiedziałam Hannie o zaręczynach Rydera... i o tym, kim jestem.

- I co ona na to?

- Była dla mnie bardzo miła. Niech cię nie zwiedzie szorstka powłoka, bo pod nią bije naprawdę czułe serce.

Wiadomość o Ryderze i Maddy wcale jej nie zachwyciła. Próbowwała mnie przekonać, że to pomyłka i że Ryder się wycofa.

- Może ma rację.

- Czy to efekt twoich zdolności do przepowiadania przyszłości, czy też tylko chcesz mnie pocieszyć?

Jenny ułożyła się wygodnie na plecach i złożyła ręce pod głową.

- Sama nie wiem. Ale coś mi tu nie pasuje. Nie zauważyłaś?

- Nie zauważyłam w ogóle niczego. Zaraz po słowach Rydera zakręciło mi się w głowie i... A co? Ty coś zauważyłaś?

- Owszem. Jest wobec Maddy miły i serdeczny. Serdeczny, ale nie czuły. Dużo więcej uwagi poświęcał Billy'emu. A Maddy przez cały czas była smutna. Nie tak zachowuje się ktoś, kto wkrótce wychodzi za mąż. Na Rydera spoglądała bardzo rzadko, za to od swego syna prawie nie odrywała wzroku. Zauważyłaś, jaka jest wychudzona? Prawie nic nie jadła.

Essie rzeczywiście zauważyła szczupłość Maddy, ale cóż to miało za znaczenie? Ryder postanowił się z nią ożenić i w dodatku mieli syna. Tylko to się liczy. Syn. Zawsze marzyła, że to z nią Ryder będzie miał dzieci. Nie, dość tego! Na jeden wieczór to aż nadto.

- Jenny, tak strasznie się napracowałam, a przecież przyjechałam tu na wakacje.

- Nic nie mów. Ani słowa więcej. Zrobiłam to z przyjemnością, a poza tym jesteśmy razem i tylko to się liczy.

- Chciałam ci dziś opowiedzieć o Ryderze, ale...

- Opowiesz mi, kiedy zechcesz. - Jenna ułożyła się wygodniej i wsparła głowę na łokciu. - Chcesz posłuchać, o czym rozmawiali przy kolacji?

- Tak się cieszę, że tu jesteś. - Essie z trudem powstrzymywała łzy. - Bardzo mi cię brakowało.

- Mnie ciebie też - przyznała trochę zmieszana Jenny i szybko zmieniła temat. - W poniedziałek pędzą bydło na to drugie pastwisko. Shane powiedział, że możemy się z nimi wybrać, jeśli wytrzymamy trzy dni w siodle i zniesiemy obozowanie pod gołym niebem. Oczywiście pełniłybyśmy obowiązki kucharek, ale mogłoby być fajnie.

Mogłoby, gdyby nie fakt, że i Ryder tam będzie. Essie chciała to powiedzieć, kiedy z dworu dobiegły ją jakieś krzyki.

Jenny zgasiła lampkę na swym nocnym stoliku i wyskoczyła z łóżka. Podbiegła do okna i przywarła do szyby.

- Nie jestem pewna, ale to chyba Max i Ryder. - Spojrzała na Essie i chciała o coś zapytać, ale zamiast tego przykucnęła i uchyliła nieco okno. Teraz słysząc było znakomicie.

Essie też wysunęła się spod kołdry i uklękła obok Jenny.

- Jak mogłeś być tak nieostrożny z tego typu kobietą? I potem jeszcze powiększać ten błąd, obiecując jej małżeństwo? Czyś ty zwariował?! - krzyczał Max.

Ryder złożył ręce na piersi i rozstawił szeroko nogi.

- A może powinienem ożenić się z jakąś miłą, porządną dziewczyną, a na boku odwiedzać Purpurowy Pałac? I wilk by był syty, i owca cała. Ty o tym wiesz najlepiej, prawda, ojcze?

- Myślisz, że jesteś taki mądry i wszystko wiesz - mruknął Max.

- Wiem, że zostawiłeś mamę, a teraz ona nie żyje.

Max postąpił krok w jego stronę.

- I to moja wina, tak? Jak długo mam płacić za to, że twoja matka...

- Do śmierci! - krzyknął mu prosto w twarz Ryder. Odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę stajni.

Max, ze zwieszoną głową, został na podjeździe.

Essie wsparła głowę o ramię Jenny i ciężko westchnęła. Chciała wychylić się przez okno i krzyknąć: „Idź za nim, Max!”. Owszem, starszy pan popełniał błędy, ale na pewno kochał swoich synów. Może nawet najbardziej właśnie Rydera.

Jenny zamknęła okno i obie wróciły do łóżka.

- Widzisz? - szepnęła.

- Co? - spytała także szeptem Essie.

- Wygląda na to, że Ryder nie spędzi dzisiejszej nocy w łóżku Maddy. To dziwne w przypadku pary, która zamierza się wkrótce pobrać i która ma już dziecko, nie uważasz?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jenny była już pod prysznicem, kiedy Essie w końcu zwlokła się z łóżka i podreptała do szafy po coś do ubrania. Bała się tego dnia. Czy będzie w stanie podać śniadanie Ryderowi i Maddy?

- Mam pewien pomysł - oznajmiła Jenny po wyjściu z łazienki.

Essie, z parą czystych dżinsów i T-shirtem w ręku, opadła na łóżko.

- Jak ty w ogóle możesz o czymkolwiek myśleć o tej porze?

Jenny zignorowała ponury nastrój przyjaciółki i zaczęła się ubierać.

- Ja zajmę się śniadaniem, a ty Hanną. Potem, jeśli zostaniemy same, to przy sprzątanii kuchni opowiesz mi o tygodniu spędzonym w Montanie.

- Zgoda.

Po drugiej filiżance kawy Essie, z tacą i niewyraźnym uśmiechem na ustach, weszła do pokoju Hanny.

- Lepiej się dziś czujesz?

- A czy lepiej wyglądam? - mruknęła stara, dobra Hanna. Z wyraźnym trudem uniosła się nieco wyżej.

- Tak mi strasznie przykro.

- Daj spokój. Mnie też. - Hanna poklepała kołdrę obok siebie i Essie posłusznie tam przysiadła. - Obejrzyj ze mną

nabożeństwo? Na czwartym kanale naucza znakomity kaznodzieja.

Essie nie miała wyboru. Owszem, mogła jeszcze zejść do jadalni i obsługiwać świeżo zaręczoną parę albo spakować walizki i opuścić ranczo. Ale dopóki była tu Jenny, ta druga możliwość nie wchodziła w rachubę.

Pozostało więc nabożeństwo.

Jenny podała śniadanie i poinformowała Maksa, że Essie zajmuje się Hanną. Max, pochłonięty własnymi problemami, skinał tylko głową. Ryder wyglądał tak, jakby nie spał przez całą noc, a Maddy, choć wydawało się to niemożliwe, wyglądała na jeszcze bledszą niż poprzedniego dnia. Jej skóra była prawie przezroczysta.

Jenny właśnie napełniała jej kubek herbatą, kiedy Maddy odsunęła krzesło i spróbowała wstać.

Ryder, bardzo zaniepokojony, przytrzymał jej krzesło.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Ja... ja tylko... - Maddy nie dokończyła zdania. Zanim Ryder zdążył ją podtrzymać, upadła zemdlnona na podłogę.

Jenny ostrożnie, bo przecież trzymała imbryk z gorącą herbatą, odsunęła się do tyłu. Ryder już trzymał Maddy w ramionach. Max był tuż przy nim.

- Zanieśmy ją do gabinetu - rzekł.

Maddy nawet nie otworzyła oczu, kiedy mężczyźni wybiegli z nią do holu. Jenny stała jak wmurowana. Billy z trudem powstrzymywał się od płaczu. Nikt nawet nie myślał o jedzeniu.

Pierwszy poruszył się Shane. Wstał i podszedł do Billy'ego.

- Muszę zajrzeć do stajni i odwiedzić naszego nowego żrebaczka. Chcesz iść ze mną?

- Ale mama...

- Twoja mama jest pod dobrą opieką, Billy. Zostawmy ją teraz w spokoju i zajmijmy się końmi, dobrze?

Billy spojrział jeszcze w stronę holu, ale w końcu wstał i podążył za Shane'em.

W jadalni zostali tylko Jenny i Josh, którzy po prostu patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Jenny nalała sobie filiżankę kawy i usiadła naprzeciwko niego.

- Wiesz, o co tu chodzi? - spytała.

- Nie mam pojęcia. Najpierw ta zaskakująca wiadomość, a teraz to. A ty? Domyślasz się czegoś?

Jenny podejrzewała, że Josh ma na myśli omdlenie, a nie zaręczyny, więc swoje komentarze postanowiła zachować tylko dla siebie.

- Wydaje mi się, że Maddy jest ciężko chora. Zauważyłeś, że je tyle co ptaszek?

- Owszem.

- Sama nie wiem, co o tym myśleć.

Maddy leżała na kozetce. Blond peruka nieco jej się przekrzywiła, więc Ryder, wiedząc, że po odzyskaniu przytomności Maddy będzie tym faktem bardzo zmieszana, natychmiast ją poprawił.

Jeśli Maddy oprzytomnieje.

Patrzył, jak ojciec stetoskopem osłuchuje jej klatkę piersiową, i zastanawiał się, czy to już koniec. Wtedy planowany na przyszły tydzień ślub nie doszedłby do skutku. Ta myśl przyniosła mu ulgę, ale i wyrzuty sumienia. Przecież nie chciał, żeby Maddy umarła. Ale gdyby już doszło do najgorszego, przynajmniej Billy będzie miał ojca, którego tak bardzo mu trzeba. W dzisiejszej gazecie jest o nim wzmianka - jako o Billym Malone, co na pewno wywoła falę plotek, ale to chłopcu pomoże w życiu.

Małżeństwo ułatwiłoby sprawę przejścia nad nim opieki prawnej, ale im bliższy był dzień ślubu, tym większe Ryder miał wątpliwości. Przecież Maddy wie, że on jej nie kocha. Wiedział, że to nie ona jest prawdziwą przyczyną jego wątpliwości, lecz Essie. Słodka, niewinna, czuła, wrażliwa Essie. Co ona o tym wszystkim myśli? Nieważne, że sama chciała tego, by Ryder się z nią kochał. Tylko on wiedział, co go wkrótce czeka, co będzie musiał zrobić. I mimo to pozwolił, by stało się to, co się stało. Czy kiedyś będzie w stanie jej to wyjaśnić albo jakoś naprawić wyrządzoną tej dziewczynie krzywdę?

- Czy coś takiego już kiedyś jej się przydarzyło? - spytał Max, kończąc badanie.

Ryder oderwał się od myśli o Essie i spojrzał na kredowobiałą twarz Maddy.

- Przy mnie nie, ale w ogóle na pewno tak.

Max odsunął włosy zasłaniające ucho Maddy i w tej chwili blond peruka zsunęła się na bok, odsłaniając całkowicie łąsą czaszkę. Gwałtownym ruchem Ryder natychmiast przesunął ją na poprzednie miejsce.

- Dlaczego straciła włosy?

- Od chemioterapii - odparł Ryder, spuszczać wzrok.

- Na co jest chora?

- Na białaczkę.

- Czy próbowano znaleźć dawcę szpiku? - spytał po chwili niezręcznej ciszy Max.

- Podobno tak, ale Maddy nie jest ubezpieczona. Myślisz, że ktokolwiek przejmie się kobietą z Purpurowego Pałacu?

Max położył rękę na czole Maddy i nie odpowiedział.

- Ile miała już sesji chemioterapii?

- Dwie.

- Nie masz przypadkiem jej dokumentacji medycznej?

- Tak się składa, że mam. Zaraz ci przyniosę.

- Zaczekaj.

Ryder przystanął w progu.

- Wiedziałeś o tym, kiedy planowałeś z nią ślub?

- Chciałem, żeby Billy miał ojca i moje nazwisko. - Zauważył pytanie w oczach ojca, ale nie dał mu odpowiedzi, na którą Max wyraźnie czekał. To nie jego sprawa, czy Billy naprawdę jest synem Rydera. - Wszyscy za plecami nazywają go Burdelowym Billym. Nie mogłem tego znieść.

Ściśnięte gardło nie pozwoliło mu na dalsze wyjaśnienia, szybko więc otworzył drzwi i wyszedł z gabinetu.

Biedny Billy. Biedny mały Billy.

Po drodze usłyszał dochodzące z pokoju Hanny nauczanie telewizyjnego kaznodziei i uniósł głowę do nieba. Proszę Cię, Panie, wiem, że nie zasłużyłem na Twoje łaski, ale pomóż mi znaleźć właściwe słowa, kiedy będę musiał powiedzieć prawdę Billy'emu. Gdy już przyjdzie na to czas.

W walizce znalazł teczkę z wynikami badań. Szybko odszukał ostatni wpis, sprzed sześciu tygodni. Maddy mówiła mu, że niewiele jej życia zostało. Teraz w karcie znalazł potwierdzenie jej słów.

Zostało jej tylko kilka miesięcy. W najlepszym wypadku.

Max wolno uniósł głowę znad szpitalnego łóżka. Ryder z pewnej odległości patrzył, jak z kroplówki spływa do żyły Maddy morfina i roztwór soli fizjologicznej. Stan pacjentki z każdą chwilą się poprawiał. Pomagała jej także obecność Billy'ego, któremu, przynajmniej na razie, najgorsze zostało oszczędzone.

- Lepiej się czujesz? - spytał Max, sprawdzając jej tętno.

- Zdecydowanie. Dziękuję. - Maddy uśmiechnęła się

i spojrzała na synka. - A teraz opowiedz mi, co porabiałeś, kiedy ja tu sobie drzemałam.

- Na ranczu jest nowy źrebak. Naprawdę super. Nóżki ma jak patyczki i cały jest taki chudziutki. I wiesz co?

- Co takiego?

- Ryder dał mi kucyka. Wiesz, tego, o którym ci mówiłem, że zawsze na nim jeżdżę, kiedy odwiedzam stajnię. Dostałem go na zawsze. Naprawdę!

Maddy spojrzała na opartego o framugę drzwi Rydera.

- Mam tyle koni pod opieką, że Billy robi mi grzeczność, zdejmując ze mnie choć część obowiązków - oświadczył i wzruszył ramionami.

- Będę się nim sam zajmował! - krzyknął Billy, podbiegł do Rydera i przytulił się do niego. - Nawet nie będziesz mi musiał przypominać. Zobaczysz.

Patrząc w błękitne, niewinne oczy Billy'ego, Ryder z trudem przełknął ślinę. Chłopczyk wiedział, że jego matka od pewnego czasu jest chora. Pewnie domyślał się, że już nie wydobrzeje. Jest mądrym dzieckiem. Ale przecież tylko dzieckiem.

Jak przyjmie śmierć matki? A jeśli w dodatku ten fakt miałby prześladować go przez całe życie jak...

Ryder oparł czoło o framugę drzwi i zamknął oczy. Tak, o takiej rzeczy niełatwo zapomnieć. Owszem, śmierć Maddy będzie inna.

Nie taka, jak śmierć jego matki.

Powróciły bolesne wspomnienia: sanitariusz, przykłękający obok niego przed drzwiami łazienki.

- Czy w domu jest ktoś jeszcze oprócz ciebie, chłopczyku?

Josh chodził do podstawówki, Shane do liceum. Obaj kończyli lekcje później. To on zawsze pierwszy wracał do domu. Mama o tym wiedziała.

- Gdzie można znaleźć twojego tatę?

Tata? Kiedy ostatnio był w domu? Czy w ogóle jest w mieście? Ryder nie wiedział.

- Chyba w szpitalu. Numer jest przyczepiony do lodówki.

- Może pójdziesz do salonu, chłopczyku? Przyniosę ci coś zimnego do picia.

- Nie!

Nie. I bez tego było mu zimno. Zresztą nie mógł się nawet ruszyć. Miał zamknięte oczy. Od tamtej chwili. Jeśli nie będzie się ruszał, to może zaraz się obudzi i wszystko to okaże się snem.

Czuł się taki samotny i porzucony, nikomu niepotrzebny. Tak bardzo kochał mamę, a ona zawsze na niego czekała. Nawet kiedy wszyscy gdzieś poszli, kiedy Hanna i Czarny Kruk mieli jakieś zajęcia poza domem, mama zawsze gotowa była wysłuchać tego, co wydarzyło się w szkole, przytulić go, pocałować.

To nie może być prawda! To tylko zły sen.

Nagle poczuł, że Billy ciągnie go za rękaw.

- Mogę? Proszę.

Ryder przetarł oczy, spojrzał na ojca zmieniającego butelkę w kropłówce i wrócił do teraźniejszości.

- Czy co możesz? - spojrzał na chłopca.

- Czy mogę pojechać z wami na spęd?

Za jego plecami Maddy z błaganiem w oczach kręciła głową.

- Tym razem jeszcze nie. Może w przyszłym roku. Najpierw musisz przyzwyczaić się do swojego kucyka.

- Ojej!

- Zresztą ja też nie pojedę. - Nie mógł w takiej chwili zostawić Billy'ego samego.

- Zaopiekuję się Maddy i Billym, jeśli o to chodzi - rzekł Max, nie podnosząc oczu.

- Ryder. - Maddy poczekała, aż do niej podejdzie. - Chcę, żebyś pojechał. Nic mi nie będzie.

Ryder patrzył jej w oczy. Starał się z nich odczytać myśli Maddy. Wydawało mu się, że widzi w nich obietnicę, że ona dotrwa do jego powrotu. Ale skąd mogłaby to wiedzieć? W jej karcie choroby napisane było: „Kilka miesięcy w najlepszym wypadku”. A to było wiele tygodni temu. Czy pozostały jej już tylko tygodnie, czy może dni?

- No, nie wiem. Przecież Hanna też niedomaga.

A gdyby ojciec był akurat w swoim gabinecie i Billy sam siedział przy matce w takiej chwili?

- Może Essie zostałyaby z Hanną - zaproponował Max. - Braciom na pewno przydałaby się twoja pomoc. - Położył rękę na ramieniu Rydera i spojrzał mu w oczy. - Zaopiekuję się Billym, kiedy Maddy będzie odpoczywać. Damy sobie radę, synu.

Maddy dotknęła rękawa Rydera.

- Czy jeśli Essie zostanie, to poprosisz ją, żeby do mnie zajrzała, jeśli będzie miała czas?

Zaskoczyła go ta prośba. Maddy prawie nie znała Essie, widziały się tylko raz i to bardzo krótko. Myślał o jakimś wykręcie, dzięki któremu oszczędziłby Essie spotkania z jego narzeczoną. Zresztą może i ona wybierze się na spęd. Z drugiej strony lepiej by było, gdyby została w domu. Uniknęłyby trzech nocy przy ognisku pod świdrującym, pełnym żalu spojrzeniem Essie i mógłby spełnić prośbę Maddy. Wiedział, że to egoistyczna myśl. Spróbował jeszcze raz.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym został?

Maddy uśmiechnęła się i pogładziła go po ramieniu.

- Naprawdę chcę, żebyś pojechał. Wiem, że się o mnie

martwisz, ale nie ma powodu - dodała, widząc, że nie reaguje. - Już tyle dla mnie zrobiłeś, że nigdy ci się nie odwdzięczę. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

W jego przekonaniu to raczej on był jej dłużnikiem. Nigdy nie skorzystał z jej łóżka, ale kiedy tylko było mu źle, oferowała mu swoje zrozumienie i pociechę. Kiedy odwiedził ją po raz pierwszy, zapłacił tylko za to, że pozwoliła mu usiąść na swoim łóżku i wygadać się. Potem odwiedzał ją jeszcze kilka razy. Siadywali wtedy na werandzie lub spacerowali. A kiedy jakiś facet zrobił jej dziecko, Ryder, pamiętając swoje smutne dzieciństwo, starał się spędzać z Billym jak najwięcej czasu.

- Ryder, a może wolałbyś, żebym to ja porozmawiała z Essie? - Max przerwał notowanie czegoś w karcie.

- Nie, nie! Ty zajmij się Maddy, a ja załatwię sprawę z Essie.

Ryder wyszedł z pokoju, zanim ktorekolwiek z nich zdążyło coś powiedzieć.

Nie miał prawa prosić Essie o żadną przysługę, ale w zaistniałej sytuacji nie widział innego wyjścia. Spodziewał się z jej strony albo lodowatego spojrzenia, albo gniewnych słów. Wiedział, że na nie zasłużył.

Nabożeństwo się skończyło i rozpoczęto nadawanie jakiegoś starego filmu. Ryder stanął w progu i patrzył, jak Essie otula Hannę kołdrą, bierze z nocnego stolika pustą tacę i idzie ku drzwiom. Dopiero wtedy go zauważyła i położyła palec na ustach. Odstawiła tacę na stolik i na palcach wyszła do holu.

- Hanna właśnie zasnęła. Może zajrzysz później? - dodała, nie patrząc mu w oczy.

- Przyszedłem, żeby porozmawiać z tobą.
Dopiero wtedy uniosła głowę.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia.
- Maddy jest ciężko chora. - Kiedy Essie odwróciła głowę w bok, dużo łatwiej mu było zadać następne pytanie.
- Maksowi przydałaby się pomoc przy Hannie. Zostaniesz?

Dostrzegł wahanie w jej oczach i domyślił się, przed jakim wyborem ją postawił. Mieszkanie pod jednym dachem z jego narzeczoną albo trzy dni w jego towarzystwie pod gołym niebem.

- Dobrze - odparła w końcu. - Ale niech nikt się nie spodziewa żadnych smakołyków.

- Jeśli masz na myśli Billy'ego i Maddy, to zapewniam cię, że chłopakowi wystarczy masło orzechowe i galaretki, a Maddy... ostatnio prawie w ogóle niczego nie jada. - Żeby powiedzieć następne zdanie, musiał najpierw zaczerpnąć tchu. - Prosiła, żebyś do niej zajrzała.

- Maddy? Po co?

- Nie wiem. Może chce ci podziękować za wczorajsze przyjęcie albo za sposób, w jaki traktowałaś Billy'ego. Naprawdę nie mam pojęcia.

Essie najpierw bardzo długo wpatrywała się w swoje stopy.

- Zapytam Jenny, czy zgodzi się pojechać beze mnie. Wiesz przecież, że przyjechała tu, żeby trochę ze mną побыć. Ale chyba ma ogromną ochotę na ten spęd.

- Bardzo cię przepraszam.

Za wszystko, chciał dodać, ale nie była to najlepsza chwila.

- Dobrze.

- Dobrze?

- Powiedz Maksowi, że zostanę z Hanną - wyjaśniła. Wzięła tacę i wróciła do kuchni.

I znów Ryder chciał iść za nią i wszystko jej wytłumaczyć. Pokręcił jednak tylko głową i wrócił do gabinetu ojca.

Maddy siedziała wsparta o poduszki. Billy'ego i Maksa przy niej nie było.

- Essie zostanie - rzekł Ryder i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie powiedziała mu, czy odwiedzi Maddy. Miał nadzieję, że tak. - Wciąż jednak nie mam ochoty zostawiać cię tu samą.

- Nie martw się. Zresztą i tak tu nie zostaję. Rozmawiałam z Maksem o przeniesieniu mnie do Pałacu.

- Mowy nie ma! Zostajesz tutaj.

- Szanowny panie, choć ma pan zamiar zostać moim mężem, to nie znaczy jeszcze, że może pan mną rządzić. Jeśli chcę wrócić do domu, to wrócę.

Spojrzała na niego z dumnie uniesioną głową. Ryder wiedział, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Rozumiał też jej pragnienie powrotu do domu. Oczywiście pod warunkiem, że Max wyrazi na to zgodę.

- A co z tym? - wskazał stojak z kroplówką.

- Wieczorem dostanę ostatnią kroplówkę. Jeśli jutro nadal będę potrzebowała pomocy, zostanę. Ale jeśli poczuję się lepiej, wracam do domu. A teraz zostaw mnie łaskawie samą, bo chcę się zdrzemnąć.

Nawet na niego nie spojrzała, tylko z zainteresowaniem przyglądała się swoim stopom.

- Chcesz, żebym cię obudził, zanim wyjadę?

- Chyba żartujesz? O czwartej czy piątej rano? O tej porze można czasem kłaść się spać, ale na pewno nie wstawać. Zobaczymy się w Pałacu po twoim powrocie - powiedziała i zamknęła oczy.

Ryder stał jeszcze przez chwilę przy jej łóżku. Czuł, że powinien być bardziej stanowczy, z drugiej jednak strony nie chciał pozbawiać jej tej odrobiny godności. Zresztą znalazł już dużo lepsze wyjście. Po spędzie poprosi Josha i Shane'a

o urlop i zamieszka z Maddy i Billym w Pałacu. Na tak długo, jak to będzie konieczne. Nie mógł pozwolić, by mały był sam w chwili śmierci swojej matki.

- Przestań ze mną dyskutować - powiedziała Essie, ściągając przed lustrem dzinsy. - Odkąd tu przyjechałaś, cały czas pracujesz. Wiem, że chcesz pojechać na ten spęd, Jen. Więc pojedziesz i kropka. - Wciągnęła przez głowę ogromny T-shirt, służący jej za nocną koszulę, i usiadła na łóżku obok przegładającej jakieś pismo Jenny.

- Przyjechałam tu, żeby pobyc z tobą, przyjaciółko.

- I zostajesz na dwa tygodnie, zgadza się?

A może dłużej, dodała w myśli. Między Jenny i Shane'em coś zaczynało iskrzyć.

- Dobra, wygrałaś. - Jenny odłożyła pismo. - Ale pod warunkiem, że opowiesz mi, co zaszło między tobą i Ryderem. I to natychmiast. Inaczej nigdzie nie jadę!

Essie, która jeszcze przed kilkoma dniami nie mogła się doczekać tej chwili, teraz była zawstydzona i zmieszana. Powoli i nieśmiało zaczęła relację od opisu ich pierwszego spotkania, a potem poszło już łatwiej.

Dopiero kiedy skończyła, odważyła się spojrzeć w oczy wyraźnie rozgniewanej przyjaciółce.

- Wiem, wiem! Kochałam się z nim bez zabezpieczenia. Byłam ślepa i głupia. Przecież Maddy prowadzi burdel. Kto wie, co złapałam. Och, Jen, a jeśli jestem w ciąży?

- Przywiozłam test, o który prosiłaś, ale to jeszcze za wcześnie, słonko. Musimy poczekać.

- Jesteś na mnie zła, prawda? - spytała nieśmiało Essie.

- Chyba powinnam, ale przede wszystkim jestem wściekła na Rydera. Ty byłaś zielona, ale on na pewno nie. Skoro bywa w tym... Jak to się nazywa?

- Purpurowy Pałac.
- O, właśnie. Skoro bywa w Purpurowym Pałacu, to powinien użyć jakiegoś zabezpieczenia.

- Chyba masz rację, ale nie możemy winić tylko jego. Jenny zmarszczyła brwi.

- To kolejna rzecz, która mi tu nie pasuje. Po pierwsze, Ryder nie wygląda na zakochanego w Maddy. Ani ona w nim. A teraz jeszcze to! Myślisz, że on poszedłby z tobą do łóżka bez zabezpieczenia, gdyby był bywalcem tego burdelu? - W odpowiedzi sama pokręciła głową. - Dziwnie to wszystko wygląda!

Essie parsknęła śmiechem.

- Co takiego?

- Jesteś taka słodka. Tak pięknie się złościś i oburzasz. Uwielbiam cię.

- No, dobra, dobra! Teraz twoja kolej.

- Nie rozumiem?

- Opowiedz mi o Shanie - zażądała Jenny.

- To ty mi opowiedz. Droga z lotniska trwała dobrych kilka godzin. Może powinnam o czymś wiedzieć?

- Było w porządku. - Jenny wzruszyła ramionami. - Tylko na samym początku zrobił jakąś głupią uwagę, że jestem Indianką.

- No, cóż.

- Tak, tak, wiem. Ale to nie znaczy, że lubię o tym rozmawiać.

- Powiedziałaś mu to?

- Coś w tym sensie.

- Ciekawe, jak to przyjął.

- Skąd mogłam wiedzieć, że mieszka z Indianinem?

- Jenny, Jenny, co ja mam z tobą zrobić?

- To raczej ja mam problem, przyjaciółko. Co mam zro-

bić z Shane'em w ciągu tych trzech nocy spędzonych pod gwiazdami?

Rzut poduszką stłumił jej śmiech.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jenny i trzech mężczyźni odjechali z bydłem, zostawiając w domu Maksa i jego pacjentkę, leżącą w łóżku Hannę i zagrożoną w niewesołych myślach Essie.

Przez większą część nocy nie mogła zasnąć, rozmyślając o narzeczonej Rydera. Choć bardzo nie chciała w to wierzyć, jedynym wytłumaczeniem złego stanu Maddy wydawała się ciąża. To wyjaśniałoby jej omdlenie i szczupłość. Może z powodu nudności tak mało ostatnio jadła.

Dlaczego jednak poprosiła Essie o odwiedzin? Ryder na pewno nie powiedział jej o swoim flircie z młodą kucharką. Nie, na pewno nie. Może rzeczywiście, jak sugerował Ryder, Maddy chciała jej podziękować za przyjęcie. Jeśli tak, to wybrała niewłaściwą osobę. Przecież to Jenny wszystko przygotowała.

Po wypiciu pół dzbanka kawy i długiej walce z własnym sumieniem Essie postanowiła dać sobie spokój z tymi odwiedzinami. Zamiast tego zaszła do gabinetu Maksa, udając przed samą sobą, że już dawno na ten dzień zaplanowała porządkowanie jego dokumentów. Fakt, że teczka z danymi Maddy też się tam teraz znajdowała, nie miał tu nic do rzeczy.

Kiedy pracowała, raz czy dwa zajrzał do niej Max, chwytając jej poczynania. Poza tym nikt jej nie przeszkadzał. Tak jak podejrzewała, większość szafek była pusta, Essie pozbiierała więc karty pacjentów, posegregowała je alfabetycznie i powkładała do oznaczonych na nowo szuflad. Pościarała

jeszcze kurze i z pełnym zadowolenia westchnieniem opadła na skórzany fotel. Oprócz podlania kwiatów na razie nie miała tu nic więcej do roboty.

Oprócz przeczytania karty informacyjnej Maddy. Tylko ona leżała jeszcze na biurku.

Essie siedziała bez ruchu i nasłuchiwała. Panowała głucha cisza. Nagle przypomniała sobie słowa Maksa o konieczności zachowania w tajemnicy tego, co zobaczy lub usłyszy o pacjentach. Jeśli Essie odkryje coś poufnego, nikomu tego nie powtórzy. Nawet Jenny.

Szybko, w obawie że zmieni zdanie, przysunęła do siebie kopertę i przeczytała widniejące na niej nazwisko. Wkrótce zastąpi je inne - to, które ona miała kiedyś nadzieję nosić. Odchyliła głowę do tyłu i mocno zacisnęła powieki. Ani jednej łzy więcej.

Po chwili jeszcze raz spojrzała na kopertę i odsunęła ją od siebie. Z westchnieniem oparła się o biurko i wstała z fotela. Cokolwiek tam jest, to nie jej sprawa. I w dodatku niczego nie zmieni. Co się stało, to się nie odstanie i Maddy wkrótce zostanie żoną Rydera.

Z ponurą miną i zwieszoną głową wróciła do kuchni. Nawet wizyty u Hanny nie poprawiły jej humoru. Czas włókł się niemiłosiernie, jakby ten dzień miał się nigdy nie skończyć.

Koło piątej przyszła pora na wyjazd Maddy. Poprzedniego wieczora dostała ostatnią kroplówkę i przespawszy cały dzień, stwierdziła, że czuje się dużo lepiej. Patrząc na nią, Essie miała jednak co do tego poważne wątpliwości. Rozsądniej byłoby zostać na miejscu.

Wspierana przez Maksa i Essie Maddy była już prawie przy aucie, kiedy w tumanie kurzu zajęchała przed dom półciężarówka. Wskoczył z niej kowboj w kapeluszu.

- Przepraszam, że zawracam panu głowę, doktorze, ale mój brat dostał po żebrach. Przeganiałoby bydło i...

- Dawaj go tu szybko - przerwał mu Max i zwrócił się do kobiet. - To może trochę potrwać. Zaczekacie? Czy może dacie sobie radę beze mnie?

Essie z trudem stłumiła jęk rozpaczy. Tego jej tylko brakowało. Sam na sam z Maddy. Westchnęła cicho i ujęła Maddy pod ramię.

- Ja pomogę - zaproponował szybko Billy. - Oprzyj się o mnie, mamó.

No, dobrze, przecież ta kobieta niczemu nie jest winna. Essie z uśmiechem położyła ją do łóżka i wróciła do domu. Złość zachowała dla Rydera, bo przecież to on na nią zasłużył.

- Chodź, Essie - pociągnął ją za rękaw Billy. - Chcę ci pokazać mój pokój.

- Zaczekaj, słoneczko - powstrzymała go Maddy. - Może zrobisz to po kolacji. Idź umyć ręce. - Potem zwróciła się do Essie. - Zostaniesz na kolacji, prawda?

Suzette i pozostałe panie przyłączyły się do tych zaprosin.

- Och, nie! Powinnam wracać.

- Sama mówiłaś, że przed wyjazdem zaniostaś Hannie tacę z jedzeniem, prawda? - nie dawała się zbyć Maddy.

- Tak, ale...

- Jeśli martwisz się o Maksa, to nie ma powodu. Da sobie radę.

Essie przez chwilę przyglądała się twarzy Maddy. Wpadła jej do głowy myśl, że ta kobieta mogła przecież spać i z ojcem, i z synem. Wyglądało na to, że całkiem dobrze zna ich obu. I te ostre słowa Rydera, skierowane do Maxa.

- Chodź, słodziutka - powiedziała Suzette, prawie ciągnąc ją w stronę jadalni. - Ugościmy cię, czym chata bogata.

Essie ledwo powstrzymała śmiech, zastanawiając się, ile to razy pod tym dachem używano tego określenia. Oczywiście w innym kontekście. Dolatujące z kuchni zapachy pomogły jej w podjęciu decyzji. Zostanie na kolacji, obejrzy pokój Billy'ego i zaraz potem wyruszy z powrotem. Poza wszystkim ten dom i jego mieszkanki w pewien sposób ją fascynowały.

Zaskoczyła ją Madonna, która przed jedzeniem odmówiła krótką modhtwę, a nie zaskoczyła Maddy, która jak zwykle jadła jak ptaszek. Nawet jeśli jej towarzyszki to zauważyły, lub знаły tego przyczynę, nie dały po sobie niczego poznać. Paplały wesoło, lecz była to wesołość wymuszona. A więc wiedziały!

Po kolacji Billy wziął Essie za rękę i z wypiekami na twarzy poprowadził do swego pokoju.

W progu przystanął i pozwolił, by Essie sama oceniła jego królestwo. Jasnoczerwone łóżko w kształcie samochodu wyścigowego przykryte było niebieską kapą, podobną w kolorze do pluszowego dywanu. Artystycznie rozmieszczone kolorowe plakaty - ze sportowcami, autami i końmi - pokrywały wszystkie cztery ściany. Przy oknie z błękitnymi zasłonkami stało niewielkie, zgrabne biurczko, a obok wisiała tablica z licznymi zdjęciami i notatkami. Zaciekawiona, ale i pełna obaw, Essie podeszła, by przyjrzeć im się z bliska. Przedstawiały Billy'ego - od niemowlaka do dzisiaj. Tylko na jednym, zrobionym niedawno, był z matką. Tego jednak, czego obawiała się najbardziej, nie znalazła. Nie było tam ani jednego zdjęcia Rydera. Ani z Billym, ani z Maddy. O dziwo, nie przyniosło to jednak jej żadnej ulgi.

- Podoba ci się mój pokój? - spytał Billy.

- To bardzo ładny pokój - odparła z uśmiechem. - Zupełnie jak z jakiegoś pisma.

Chłopczyk przyjął jej pochwałę z wyraźną dumą.

Nagle z okolic kuchni dobiegł jakiś rwetes i podniecone, zaniepokojone głosy, a chwilę potem w progu stanęła przerażona Madonna.

- Maddy zemdlała - wyjąkała.

Essie minęła ją bez słowa i szybko pobiegła do kuchni. Zatrzymała się dopiero nad leżącą na podłodze nieruchomą postacią.

- Zadzwońcie do doktora Malone' a. Jego numer...

- Mam go... - przerwała jej jedna z dziewcząt, biegnąc do telefonu.

- Położmy ją na łóżku. - Essie była chyba jedyną przytomną osobą w tym towarzystwie.

Podniosły Maddy bez trudu i, poprzedzane przez bledziutkiego Billy'ego, zaniósł ją do sypialni.

- Czy mama wyzdrowieje? - dopytywał się chłopczyk z szeroko otwartymi oczami.

Kobiety wymieniły tylko porozumiewawcze spojrzenia. Dla Essie była to aż nadto wyraźna odpowiedź. Przyklękła i przytuliła małego do siebie.

- Max już jest w drodze, Billy. On będzie wiedział, co robić - dodała, patrząc w pełne łez, przerażone oczy chłopczyka.

Z łóżka dobiegł cichutki jęk i oboje spojrzeli w tamtą stronę. Maddy otworzyła oczy, ale wyglądała na zdezorientowaną, jakby nie wiedziała, gdzie jest i co się stało. Billy wdrapał się na łóżko i wtulił się jej w ramiona.

- Madonno, czy mogłabyś dać Billy'emu trochę lodów?
- spytała Maddy po chwili.

- Nie, mam. Chcę zostać z tobą - wyjąkał przez łzy Billy. Matka pogładziła go po włosach.

- Chciałabym tylko przez chwilę porozmawiać z Essie.

- Ale potem będę mógł wrócić?

- Tak, potem możesz wrócić.

Kiedy zostały same, Maddy gestem poprosiła Essie, by podeszła bliżej i usiadła obok niej na łóżku. Essie wahała się tylko przez ułamek sekundy. Nagle zrozumiała, dlaczego Maddy tak bardzo nalegała na powrót do Pałacu. Nie chodziło jej tylko o wygodę własnego łóżka. Tu był jej dom. I tu chciała umrzeć. Wiedziała, że jest śmiertelnie chora.

Essie przysiadła na łóżku. Modliła się w duchu, żeby jak najszybciej przyjechał Max, żeby kolejna kroplówka przyniosła poprawę, by Maddy jeszcze nie musiała umierać.

- Niezbyt mnie lubisz, prawda? - Głos Maddy był zaskakująco silny.

Essie spojrzała w stronę okna. Szukała odpowiedzi, która nie zabrzmiałaby fałszywie.

- I to nie z powodu tego, co robię... czy robiłam - poprawiła się. - Tylko dlatego, że Ryder postanowił się ze mną ożenić, prawda?

Teraz Essie spojrzała wprost na tę słabą, ale bardzo mądrą kobietę.

- Zauważyłam, jak na niego patrzyłaś. I widziałam, że on stara się nie patrzeć na ciebie.

- Maddy... - Essie próbowała jakoś temu zaprzeczyć.
- Byliśmy w jednym pokoju tylko przez kilka minut.

Maddy ujęła ją za rękę.

- W mojej pracy człowiek szybko uczy się oceniać innych. Spójrz na mnie, Essie. - Na jej wargach pojawił się słaby uśmiech. - Mam ci do powiedzenia kilka rzeczy. Nie bój się, to nic złego. Ale muszę to powiedzieć szybko. Ryder chciał, żeby Billy miał ojca. I wiedział, że ja też tego pragnę.

- Na moment spuściła swe smutne, zmęczone oczy. - Zanim

umrę. A na to, jak obie wiemy, nie trzeba będzie długo czekać.

Essie z trudem wytrzymała jej niewzruszone spojrzenie.

- Essie. Ryder i ja nigdy... nigdy, no wiesz, nie byliśmy z sobą tak jak myślisz. Znamy się od lat. Z początku potrzebował po prostu przyjaciela. Kogoś, kto by go wysłuchał. - Maddy na moment zamknęła oczy. - Ale wiem, że ostatnio bywa tu tak często tylko z powodu Billy'ego. Od pierwszej chwili go pokochał.

Essie nie wierzyła własnym uszom. Chciała zapytać Maddy, z jakich to problemów zwierzał się jej Ryder.

- Kiedyś, w jakiejś odpowiedniej chwili, zapytaj go, dlaczego jest taki zły na swoją matkę - mówiła dalej Maddy, jakby czytała w jej myślach.

Essie była pewna, że Maddy się przejęczyła. Na pewno chciała powiedzieć „ojca”, a nie „matkę”.

- Nigdy mi tego nie powiedział. - Maddy otworzyła oczy i zmarszczyła brwi. - Ale jestem pewna, że w tym tkwi sedno. Zrób coś, żeby o tym z tobą porozmawiał, Essie. Dopóki tego nie zrobi, nie pogodzi się z samym sobą.

Essie skinęła głową. Była pewna, że pewnego dnia rzeczywiście się tego dowie. W tej chwili jednak nie dawała jej spokoju myśl o Billym. Jeśli chłopiec nie jest synem Rydera i ślub się nie odbędzie, to co się stanie z małym, kiedy... Ale czy Maddy mówi prawdę?

- Maddy, chciałam cię zapytać o Billy'ego.

- Billy nie jest synem Rydera. Musisz mi uwierzyć. Dwieć miesięcy przed jego narodzinami miałam wspaniały tydzień. - Maddy zdobyła się nawet na uśmiech. Potem zaczęła kasnąć i Essie ujęła ją za rękę. - Czułam tykanie mego biologicznego zegara. I wtedy wpadłam na pewien pomysł.

Poczekaliśmy na odpowiedni dzień miesiąca i odpowiednich klientów... sędziego, kaznodzieję i naukowca. Po dziewięciu miesiącach los obdarzył mnie największym skarbem mego życia. Nie wiem, kto jest jego ojcem, ale jestem pewna, że mały odziedziczył wspaniałe geny. To zresztą widać, prawda?

- Tak, Billy jest słodki i bardzo mądry - zapewniła ją Essie. - I bardzo dobrze wychowany. Możesz być z niego dumna.

Maddy wierzchem dłoni otarła spływającą jej po policzku łzę.

- Formalnie wszystko jest załatwione. Znaleźliśmy prawnika, który tego dopilnował. Billy nosi teraz nazwisko Malone, a Ryder już rozpoczął starania o adopcję. Nasze małżeństwo miało zapobiec problemom związanym ze sprawowaniem opieki, ale z tym chyba, na szczęście, wszystko w porządku.

Dopiero teraz Essie zrozumiała... smutek w oczach Rydera po tym, jak się kochali, jego uniki, nieoczekiwane plany małżeńskie.

Maddy mówiła z wyraźnym trudem. Co chwila przerywała i zamykała oczy.

- Jeśli kochasz Rydera, proszę cię tylko, żebyś była dobra dla mojego syna...

Zaciśnięte gardło nie pozwoliło Essie na natychmiastową odpowiedź. Ta kobieta wkrótce straci nie tylko życie, ale coś o wiele cenniejszego. Swego ukochanego synka.

Nagle do pokoju wpadł Billy i od razu wtulił się w ramiona matki. Ponad jego głową Maddy z niepokojem wpatrywała się w oczy Essie.

- Obiecuję.

Maddy wyraźnie się odprężyła. Chwyciła Billy'ego za

ramiona, odsunęła trochę od siebie i wpatrywała się w niego z takim natężeniem, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół jego buzi.

Essie nie mogła na to patrzeć ani sekundy dłużej. Wstała i podeszła do okna. Osoba, którą podejrzewała o to, że stoi pomiędzy nią i Ryderem, walczyła właśnie o życie.

Bardzo chciała, żeby Maddy wygrała tę batalię.

Patrząc w niebo, zastanawiała, się, czy to tam pójdzie ta w głębi serca dobra, porządna kobieta. Czy będzie mogła patrzeć, jak dorasta jej syn? Mimo że nie chciała słuchać, dobiegała ją cicha rozmowa Maddy i Billy'ego.

- Billy! Chcę, żebyś był dzielny.

- Mamó! - Chłopiec pociągnął nosem. - Ja się boję.

- Wiem, synku, wiem! Pamiętasz te książeczki z obrazkami aniołków?

- Nie, mamó, proszę!

- Wkrótce będę się z nimi bawić. - Mimo że Billy płakał już zupełnie otwarcie, mówiła dalej: - Chcę, żebyś tak sobie mnie wyobrażał. Może nawet będę miała prawdziwe skrzydła.

Do pokoju wpadł pospiesznie Max, niosąc torbę lekarską i kroplówkę. Bez słowa ustawił stojak, wziął rękę Maddy, znalazł żyłę i natychmiast wbił igłę.

- Synku, może zaczekasz w holu razem z Essie? - zwrócił się do Billy'ego.

Chłopczyk pocałował matkę, a ona otarła z łez jego mokrą buzię. Potem mały posłusznie opuścił pokój.

Razem z Essie wyszli na ganek i siedząc w milczeniu, czekali na Maksa.

To, co wydawało się wiecznością, w rzeczywistości trwało zaledwie godzinę. Kiedy w końcu przyszedł do nich Max, Essie nie musiała go o nic pytać. Jego twarz powiedziała jej wszystko.

Billy był już sierotą.

- Zadzwoń teraz w parę miejsc, a potem pojedź na państwisko po Rydera - powiedział Max dziwnie zduszonym głosem.

Billy siedział nieruchomo. On też już wiedział. Był przecież mądrym dzieckiem.

- Zajmiesz się nim? - spytał Max.

Essie tylko skinęła głową. Przytuliła mocno do siebie Billy'ego, który przyjął to z wyraźną wdzięcznością, i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Możemy pójść i pożegnać się z mamą? - spytał w końcu chłopiec.

Essie bez słowa wstała. Trzymając się za ręce, wrócili do sypialni.

Max zostawił zapaloną małą lampkę z różową żarówką. Delikatne światło padało na leżącą na łóżku kobietę. Jej twarz była spokojna i odprężona. Nareszcie przestała cierpieć.

Billy puścił rękę Essie, przyklęknął obok matki i na moment przyłożył ucho do jej piersi. Potem wtulił się w nią i cichutko coś szeptał. Był bardzo dzielny. Maddy rzeczywiście mogła być z niego dumna.

Essie nadal stała w progu, patrząc na Billy'ego, kiedy usłyszała, że mężczyźni wrócili. Odwróciła się i ujrzała Rydera. Spojrzeniem chciała mu powiedzieć, że już zna jego tajemnicę. Miała nadzieję, że ją zrozumiał. Odsunęła się i Ryder powoli podszedł do Billy'ego. Jak to dobrze, że to on musiał rozdzielić chłopca z matką. Essie chyba nie byłaby w stanie tego zrobić.

Billy od razu mocno objął go za szyję. Nawet nie starał się ukrywać płaczu.

- Moja mama! Mama! Mama.

- Wiem, mały, wiem.
- Teraz jestem już zupełnie sam.
- Nigdy nie będziesz sam, Billy - szepnął mu do ucha Ryder i spojrzał na Essie. - Nigdy cię nie zostawię. Nie bój się. Naprawdę cię nie zostawię.

Essie miała wrażenie, że Ryder mówi te słowa do Billy'ego, ale i do niej. Nie, to niemożliwe! W takiej sytuacji?

Potem przypomniała sobie obietnicę, którą złożyła Maddy tuż przed jej śmiercią: „Jeśli go kochasz, proszę cię tylko, żebyś była dobra dla mojego syna”.

Essie zamknęła oczy. To akurat będzie łatwe, Maddy.

Billy już zdobył jej serce. Niezależnie od tego, jak rozwinię szej związek z Ryderem, Billy już na zawsze pozostanie częścią jej życia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Od czasu krótkiej ceremonii pogrzebowej, która, zgodnie z życzeniem Maddy, odbyła się przy stawie na terenie jej posiadłości, Essie nie widziała Rydera. Postanowił zostać przez jakiś czas w Purpurowym Pałacu z Billym i pozałatwiać niezbędne sprawy.

Na ranczu panował ponury nastrój. Nikt o tym nie mówił, ale śmierć Maddy i smutny los chłopca były dla wszystkich wstrząsem. Nawet Hanna, która wróciła już do wykonywania lżejszych obowiązków, była łagodniejsza niż zwykle.

Jenny przejęła pieczę nad kuchnią, więc Essie skupiła się na pomocy Hannie i pracy w gabinecie Maksa. Po posiłkach pomagała Jenny w kuchni, prowadząc z przyjaciółką długie rozmowy.

Dziesięć dni po pogrzebie, w niedzielne popołudnie, wycierając naczynia, Essie myślała o Billym i o kobietach zamieszkujących Purpurowy Pałac. Owszem, kochały chłopca, co do tego nie miała wątpliwości. Maddy zapisała każdej z nich udziały w posiadłości, więc po jej śmierci nic się nie zmieniło. Wszystkie miały dom. Nie było to jednak właściwe miejsce dla dziecka. Billy powinien je opuścić i zacząć nowe życie. Ciekawe, czy Ryder już rozważał zabranie go na ranczo.

- Czuję, że w tej pięknej główce kłębią się jakieś myśli. Mam rację? - Jenny podała jej kolejny talerz.

- Myślę o Billym. - Essie przerwała wycieranie naczyń

i napotkała spojrzenie przyjaciółki. I nie tylko, dodała w duchu. - Mój okres spóźnia się już o dwa dni, Jen.

Jenny wzruszyła ramionami, jakby nie było się czym martwić.

- To może być stres albo coś innego. Ale skoro chcesz być pewna, to jest na to sposób.

Essie kiwnęła głową i obie bez słowa pobiegły na górę.

Kiedy dziesięć minut później zapłakana wyszła z łazienki, Jenny siedziała na łóżku.

- Och, Savanno! Nie płacz. Jakoś to załatwimy. Pomogę ci.

Essie usiadła obok niej i oparła się o wieszak.

- Nie ma czego załatwiać - wyjąkała.

- To skąd te łzy?

- Do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale chyba chciałam...

Jenny przysunęła się bliżej i położyła rękę na jej kolanie.

- Posłuchaj! Jest piękne niedzielne popołudnie, nie mamy już nic do roboty, a od pogrzebu upłynęło już trochę czasu. Dlaczego po prostu nie porozmawiasz z Ryderem?

- Niezłe wakacje ci załatwiłam! Nie ma co!

- Nie wygłupiaj się. Wymusiłam na szefie dodatkowy tydzień. Do następnej niedzieli zdążymy jeszcze dobrze się zabawić. Zresztą czy ja się skarżę?

Essie zauważyła figlarny uśmiech przyjaciółki i od razu zrozumiała, co Jenny ma na myśli. A raczej kogo. Z opowieści o spędzie wywnioskowała, że coś się między nią a bratem Rydera kroi. Wiedziała też, że Jenny kilkakrotnie wybrała się na konną przejażdżkę i choć przyjaciółka się do tego nie przyznała, Essie podejrzewała, że towarzyszył jej Shane. I to pewnie on był główną przyczyną jej przedłużonego urlopu.

- Mówiłam ci, że Max mi dziś rano zapłacił? - spytała Jenny.

- I słusznie! Od przyjazdu tyrasz jak wół.
- Próbowałam mu to wyperswadować, ale nawet nie chciał słuchać. I znów coś mi tu nie pasuje.
- Co takiego? Że ci zapłacił?
- Nie. Wcale nie jest takim bezdusznym pracoholikiem, jakim go przedstawiał Ryder. Myślisz, że mógł się aż tak bardzo zmienić?

- Ja też się nad tym zastanawiałam.

Znów przypomniała sobie słowa Maddy. Zapytaj Rydera, czemu jest taki zły na swoją matkę. Czyżby Maddy miała rację? Czy Ryder skrywa jakąś tajemnicę, której rozwiązanie mogłoby wiele wyjaśnić?

- Jedź, Savanno. Porozmawiaj z nim. Ja już sobie tu znajdę jakieś zajęcie, nie martw się - dodała Jenny z figlarnym uśmiechem i przeciągnęła się jak kotka.

- Oj, bo zacznę podejrzewać, że po prostu chcesz się mnie pozbyć.

- Ja?

- Dobrze, dobrze, już jadę!

Essie poprawiła w lustrze makijaż i opuściła przyjaciółkę. Zajrzała jeszcze do Hanny, która przysnęła przed telewizorem, i właśnie wyszła na ganek, kiedy przed dom zajechał dobrze jej znany pikap. Na siedzeniu pasażera nikogo nie było.

Kiedy Ryder wysiadł z auta i ruszył w jej stronę, serce Essie zaczęło bić jak szalone. O tylu rzeczach musieli porozmawiać. Także o jej tożsamości.

To ona zadała pierwsze pytanie.

- Gdzie jest Billy?

- Pakuje swoje rzeczy. Jutro przewiozę go tutaj. Powiedziałem mu, że mam do załatwienia pewną sprawę, ale niedługo wrócę... Przejedziesz się ze mną?

Essie skinęła głową i poszli w stronę stajni. Osiodłali konie i ruszyli znajomą ścieżką. Kiedy skręcili w stronę strumienia, od razu wiedziała, dokąd jada.

Ryder czuł się jak przestępca, powracający na miejsce zbrodni, ale zbrodnią nie było to, co czuł do Essie. Spojrzał na nią kątem oka i zauważył jej zdenerwowanie. Ale czy mógł ją za to winić? Zmierzali ku miejscu, w którym oboje dali się ponieść uczuciom, w którym choć przez chwilę byli wobec siebie uczciwi. Nie, nie okłamał jej przecież. Nienawidził kłamców i sam nigdy by sobie na kłamstwo nie pozwolił. Rodzice nauczyli go aż za dobrze, jakie są tego konsekwencje.

Przedarli się przez ostatnią gęstwinę i jechali teraz brzegiem strumienia. Nie, nie okłamał jej. Po prostu pewne rzeczy przemilczał. Powiedział, że nie jest to dobry czas, że ona wielu rzeczy o nim nie wie. Gdyby powiedział jej całą prawdę, na pewno nie chciałyby się z nim kochać.

Essie zsiadła z konia, przywiązała go do drzewa i podszła do strumienia. Patrzyła na płynącą wodę, na odbijające się od jej powierzchni promienie słoneczne.

Ryder miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale nie dlatego wybrał to właśnie miejsce. Chciał przeprosić Essie za to, że ostatnim razem, kiedy tu byli, tak bardzo ją zranił, i podziękować za serdeczność wobec Maddy i Billy'ego.

On też przywiązał swego konia, stanął obok Essie, wziął do ręki garść kamyków i zaczął wrzucać je do wody.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Maddy mi powiedziała, Ryder. Powiedziała mi o wszystkim. Tuż przed swoją śmiercią.

- Powiniennem ci powiedzieć więcej tamtego wieczora, żebyś poznała prawdę jeszcze przed przyjęciem. - Zamach-

nał się i rzucił kolejny kamień. - Nie chciałem sprawić ci przykrości. Przepraszam!

Słowa te, choć trudno mu je było wypowiedzieć, wydały mu się niewystarczające. Essie milczała, więc odwrócił się ku niej i spojrzał jej w oczy. I nie gniew dostrzegł w jej spojrzeniu, lecz zmieszanie i niepewność. Ale skoro Maddy powiedziała jej o wszystkim, to skąd te wątpliwości?

- Essie, ja nigdy nawet nie tknąłem Maddy. Jeśli to cię martwi...

- Nie. Nie martwi mnie to - odrzekła i po chwili spojrzała mu w oczy. - Chciałam się z tobą kochać, Ryder. I nadal cię pożądam.

Ryder położył ręce na jej nagich ramionach. Czuł, że są rozgrzane słońcem.

- Ale dlaczego ze mną? Dlaczego ja byłem pierwszy?

Essie przytuliła się do niego i odpowiedziała delikatnym pocałunkiem w policzek.

- Bo Bóg tak chciał - szepnęła mu do ucha.

Ryder nie wiedział, czemu Essie mówi z takim przekonaniem, ale czując emanującą z niej ufność, nie mógł wątpić w jej słowa. Uniósł jej brodę do góry i spojrzał w te cudowne, błękitne oczy. Zauważył, że są bardzo podobne do oczu Billy'ego. Ciekawe, czy ich dzieci odziedziczą oczy po nim, czy po niej. Kiedy jego usta spoczęły na jej wargach, zapragnął, by trwało to wiecznie.

I nie tylko to. Także te wszystkie pieścizoty, które nastąpiły potem.

A kiedy w końcu otworzył oczy i ujrzał w jej spojrzeniu miłość, zdziwił się, jak to możliwe, że przeżył trzydzieści lat, nie zaznając dotąd uczucia takiej jedności z drugim człowiekiem.

Siedzieli potem przytuleni do siebie i patrzyli na leniwie płynącą srebrzystą wodę.

- Opowiedz mi o Maddy i Billym - poprosiła w pewnej chwili Essie.

- Naprawdę chcesz o tym słuchać właśnie teraz? - spytał zaskoczony, że ze wszystkich możliwych tematów wybrała właśnie ten.

- Chyba że nie masz ochoty mi o nich mówić.

Może rzeczywiście nie była to najgorsza pora, by wszystko sobie wyjaśnić.

- Byłem wtedy smarkaczem... Właśnie po skończeniu liceum wróciłem z Detroit do domu.

Kiedy Essie odwróciła głowę, pomyślał, że może boi się tego, co usłyszy. Było już jednak za późno. Czuł, że musi mówić dalej.

- Namówiony przez jednego z naszych pracowników, wybrałem się do Purpurowego Pałacu. - Aż zaśmiał się na samo wspomnienie. - Miałem trochę pieniędzy, które dała mi babka, więc nie musiałem prosić o nie ojca.

Biorąc pod uwagę fakt, że Max sam często odwiedzał ten przybytek, pewnie nie odmówiłby synowi. Ciekawe, ile razy był tam za życia matki?

- Ryder?

- Wtedy wydawało mi się, że ze mnie prawdziwy ogier. Nie mam pojęcia, skąd mi to przyszło do głowy. - Jej pełne uwagi spojrzenie trochę go deprymowało, postanowił więc się streszczać. - Kiedy pierwszy raz spotkałem Maddy, spytała mnie o moją rodzinę i skończyło się na tym, że przesiedziałem parę godzin na jej łóżku, całkowicie ubrany, i wyrzuciłem z siebie wszystko, co mi leżało na sercu.

- A więc wy nigdy nie...? - Jej oczy błęgały o potwierdzenie, więc uczynił to leciutkim pocałunkiem w szyję. Mimo to w jej spojrzeniu nadal czaiła się wątpliwość.

- Nie, Essie. Nie oszukuję cię. Jednego możesz być pewna - nigdy nie będę cię okłamywał.

Essie spojrzała na zachodzące słońce i głęboko westchnęła. Coś ją wyraźnie gryzło. Od pierwszego dnia miał wrażenie, że kryje przed nim jakąś tajemnicę. Czuł, że musi poznać jej sekret. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, ona zapytała:

- A Billy?

- O, Billy. Wystarczy na niego spojrzeć, by zrozumieć, dlaczego go pokochałem. - Ryder uśmiechnął się, a Essie potwierdziła tę opinię skinieniem głowy. - To głównie przez niego tu wróciłem. Chciałem być bliżej tego chłopca, uczyć go różnych rzeczy, zastąpić mu ojca.

Którego ja sam, w gruncie rzeczy, nie miałem, dodał w myślach.

- A dlaczego w ogóle opuściłeś ranczo?

- Po moim wyjeździe do Detroit wszystko się tu zmieniło.

Zdecydował się na krótszą odpowiedź, więc czując na sobie pytające spojrzenie Essie, pomyślał, że winien jest jej trochę więcej szczegółów. Ona jednak zmieniła taktykę.

- Opowiedz mi o tej bliskiej osobie, o której wspomniałeś, kiedy jechaliśmy do Billings - zaczęła nieco nerwowo.
- Potem ja opowiem ci o sobie.

Uśmiechnęła się słodko, ale dostrzegł w jej oczach smutek. Może to tam, w czasach szkolnych, należało szukać rozwiązania tajemnicy tej dziewczyny. Wyciągnął się na trawie i założył ręce pod głowę. Essie poszła za jego przykładem.

- Miała na imię Savanna - wyznał i od razu dziewczyna z przeszłości stanęła mu przed oczami. W obszernej bluzie i sztruksowych spodniach, z jasnobrązowymi włosami spadającymi falami na ramiona i lekkim uśmiechem, który miał ukrywać aparat na zębach. - O Boże, Essie, sam nie wiem, co mam ci powiedzieć.

Zdziwiony spojrział na jej mocno zaciśnięte powieki i poważną minę. Mimo to mówił dalej:

- Była moją prawdziwą przyjaciółką. Słuchała moich narzekań i tolerowała złe humory, szczególnie po przegranych meczach. Miała piękną twarz, dobre oczy. Niebieskie. Tak, niebieskie.

- Pocałowałaś ją kiedyś?

- Pewnie - parsknął śmiechem Ryder. - Tuż przed maturą, po studniówce. Posunęliśmy się nawet dość daleko, ale przerwaliśmy.

- Dlaczego?

- Powiedziała mi, że jest dziewicą, a ja wiedziałem, że wkrótce wyjadę. A poza tym... Nie wiem, jak to powiedzieć.

- Spróbuj.

- Jakoś wydało mi się to niewłaściwe. Zresztą trzeba było ją znać, żeby to zrozumieć. Jej problem polegał na tym, że miała o sobie bardzo niskie mniemanie. Nie była tak szczupła jak większość dziewczyn.

- Przeszkadzało ci to?

- Mnie nie, ale jej tak. Zawsze się w pewien sposób poniżała, nazywała się brzydką tłuściochą. A potem zjadała kolejną porcję ciastek. Jak teraz o tym myślę, to widzę, jakie to było smutne. Matka zostawiła ją pod opieką sąsiadki, kiedy Savanna była jeszcze całkiem mała, tuż po śmierci ojca. Kiedyś powiedziała coś w tym sensie, iż czuje się porzucona. Że nikt naprawdę jej nie kocha.

To akurat uczucie rozumiał aż za dobrze. Może właśnie dlatego powstała między nimi tak silna więź?

- Mów dalej - szepnęła Essie, nie otwierając oczu.

- Nudzę cię.

- Nie, wcale nie.

- Właściwie to już wszystko. Wtedy po studniówce, kie-

dy przerwaliśmy, odwiozłem ją do domu. Było jeszcze wcześniej, więc zajrzałem do takiej dyskoteki, do której często chodziliśmy. Właśnie wsiadłem do auta, żeby pojechać do domu, kiedy natknąłem się na dziewczynę z naszej szkoły. Chyba była trochę pijana. Nie pamiętam. W każdym razie postanowiła mnie pocałować akurat w chwili, kiedy Savanna zatrzymała się obok mego samochodu. Odepchnąłem tę dziewczynę i zawołałem Savannę, ale tylko powąchałem spalinę jej auta. Potem kilka razy próbowałem z nią porozmawiać, ale zawsze mnie ignorowała. Tuż przed wyjazdem zadzwoniłem do niej i zacząłem wszystko wyjaśniać, ale nazwała mnie kłamcą i odłożyła słuchawkę. Potem przeniósłem się do Montany i to wszystko. Już ci mówiłem, że chciałem do niej napisać, ale skoro tak wyraźnie dała mi do zrozumienia, co o mnie myśli, zrezygnowałem z tego pomysłu.

- Skoro była dla ciebie tak ważna, to dlaczego tak łatwo się poddałeś? - spytała Essie takim tonem, jakby to jego za wszystko winiła.

- Powiedziałem jej rzeczy, o których nigdy z nikim nie rozmawiałem. O moich rodzicach i ich kłamstwach, którymi osłaniali swoje praktycznie nie istniejące małżeństwo. Wiedziała, jak bardzo nienawidzę tych, którzy kłamią, więc kiedy zarzuciła mi łgarstwo, nie mogłem się z tym pogodzić. Ale ciągle miałem nadzieję, że coś się zmieni, że pewnego dnia Savanna mnie odnajdzie i będzie jak dawniej. Wiesz, ja nawet podejrzewałem, że celowo udawała taką rozgniewaną, żeby mnie do siebie zniechęcić. Przez cały okres nauki w liceum ani razu się nie pokłóciliśmy. - Na chwilę się zamyślił.

- Owszem, spieraliśmy się, dyskutowaliśmy, ale obywało się bez prawdziwych awantur. I nagle zaczęła mnie traktować jak wroga numer jeden. Przecież byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Dlaczego tak zrobiła?

Było to pytanie retoryczne. Zaskoczyło go więc to, że Essie mu na nie odpowiedziała.

- Może twój wyjazd sprawiał Savannie zbyt wielki ból?
- W kącikach jej oczu pojawiły się łzy. - Może myślała, że napiszesz do niej od czasu do czasu, tak z litości, i chciała wam obojgu tego oszczędzić. A może bała się, że pewnego dnia napiszesz jej, że się zakochałeś w kimś innym?

Od strumyka powiał lekki, popołudniowy wietrzyk. Ryder poczuł zapach perfum Essie i uśmiechnął się.

- Ostatnio nie używałaś tych perfum. Pamiętam ten kokosowy zapach tamtego dnia.

- Rzeczywiście, wróciłam do nich, kiedy uznałam, że już pora.

- Pora? Na co?

- Zrezygnowałam z tego zapachu na jakiś czas, bo... bo bałam się, że przypomnisz sobie, kto jeszcze używał takich perfum.

Perfumy? Ryder nic nie rozumiał. Szukał w twarzy Essie jakiegoś wyjaśnienia, ale ona tylko przygryzła dolną wargę; i wpatrywała się w niego z napięciem.

Kiedy spuściła głowę, zauważył, że jej włosy u nasady są dużo jaśniejsze. A więc to nie jest ich prawdziwy kolor.

Jaśniejsze włosy. Zapach kokosa. Błękitne oczy. Ona też, kiedy była zakłopotana, przygryzała dolną wargę.

I w dodatku ta siedząca obok kobieta wspomniała kiedyś, że pochodzi ze Środkowego Zachodu.

Poczuł, jak krew szybciej krąży mu w żyłach. Z trudem opanowywał gniew.

- Co to za głupi żart? - prawie krzyknął. - Kim jesteś? Skąd tyle wiesz o Savannie?

To, co nasuwało się samo, wydawało mu się jednak mimo wszystko niemożliwe.

- Ryder... - zaczęła Essie. Łzy płynęły z jej oczu już nieprzerwanym strumieniem. - Chciałam cię poznać jako mężczyznę, zobaczyć, jaki jesteś, czy masz kogoś, czy może wciąż jesteś wolny.

Ryder zerwał się na równe nogi. Jego oczy pociemniały, z trudem oddychał. Albo ta kobieta jest przyjaciółką Savanny j odgrywa tu jakąś komedię, albo...

Kiedy i ona wstała, chwycił ją za ramiona i zmusił, by na niego spojrzała.

- Kim jesteś? Mów, do jasnej cholery!

- Naprawdę nie wiesz?

- Mów!

- S. E. Smith.

- Wiem, że jesteś Essie.

- Nie powiedziałam Essie, tylko S. E. Smith. - Inicjały swoich imion wymówiła ze szczególnym naciskiem. - Pamiętaj, jak Savanna miała na drugie imię?

- Skąd mam to wiedzieć? - warknął. I w tej chwili sobie przypomniał. - Elizabeth?

Skinęła głową. Dopiero wtedy Ryder puścił jej ramiona i cofnął się.

- Musiałam tak zrobić. Nie rozumiesz? - Kiedy zrobiła krok w jego stronę, cofnął się jeszcze dalej. - Nie chciałam, żebyś czuł się zobowiązany do tego, by być dla mnie miły. Ryder, proszę, cię. Musisz mnie zrozumieć. Chciałam się przekonać, czy mógłbyś naprawdę mnie pokochać, tak jak ja zawsze...

- Dość. - Ryder nie pozwolił jej bardziej się do siebie zbliżyć. - Rozumiem aż za dobrze, Essie... czy Savanno, czy jak naprawdę się nazywasz. Rozumiem, że mnie okłamałaś i oszukałaś. Nie tylko wtedy, w Detroit, kiedy nie chciałaś ze mną rozmawiać, ale i teraz. I to w chwili, kiedy zacząłem myśleć, że spotkałem kobietę, której mogę zaufać.

Nie dokończył, lecz wskoczył na konia i, klnąc pod nosem, odjechał galopem.

- Kluj sobie! Jedź. Uciekaj. Ale któregoś dnia przyjdzie czas na prawdę. Nie tylko o mnie, ale o powodach twego gniewu.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

O zmierzchu Essie dotarła wreszcie do stajni. Zastała tam Jenny, Shane'a i Josha.

Na szczęście nie było z nimi Rydera.

To dobrze. Jeśli ma się czegoś dowiedzieć o tym człowieku, to lepiej to zrobić to pod jego nieobecność. Przez ostatnie dwie godziny wszystko dokładnie przemyślała. Miała już dość odgrywania ofiary. Pora wziąć sprawę we własne ręce i załatwić rzecz z Ryderem raz na zawsze. Jeśli on nie ma zamiaru dotrzeć do przyczyn swego gniewu, to zrobi to ona. Teraz już wiedziała, jak bardzo go wtedy zraniła, ale na pewno nie w tym tkwił najważniejszy problem. Znow wróciły do niej słowa umierającej Maddy. Spytaj go, czemu jest taki zły na swoją matkę. Musi się dowiedzieć, czy to o to chodzi, dla jego dobra i swojego własnego.

- Sa..., Essie! - Jenny podbiegła do niej i rzuciła jej się na szyję. - Już mieliśmy zamiar cię szukać. Gdzieś ty się podziewała?

- Przepraszam - wyjąkała Essie, widząc trzy zatroskane twarze. - Chciałam trochę pobyć sama. Nie chciałam nikomu sprawić kłopotu.

- Dobrze, że nic ci się nie stało. - Shane wziął od niej wodze i chciał odprowadzić do boksu jej kasztana.

Josh też chciał odejść, ale Essie przytrzymała go za rękaw.

- Zaczekajcie! Możemy chwilę porozmawiać?

Bracia przystanęli, zaskoczeni jej prośbą.

- Jasne - zgodził się za obu Josh.
- Zaczekam w środku - powiedziała Jenny, ale i ją Essie zatrzymała.

Potrzebowała wsparcia przyjaciółki.

- A więc zacznę od tego, że wcale nie nazywam się Essie. Jestem Savanna Smith.

Jej słowa wyraźnie ich zaskoczyły. Pierwszy doszedł do siebie Josh.

- Ta Savanna Smith? Ta, o której Ryder ciągle mówił?
- Owszem. Ta sama.
- O Boże. Czy Ryder o tym wie?
- Tak, braciszku - odpowiedział mu natychmiast Shane.
- Wie. Dowiedział się dziś po południu. Zgadza się?
- Musiałam tak zrobić. Jest w nim tyle gniewu i złości.
- Dziwisz się? - przerwał jej Shane.
- Nie. Ale wiem, że to nie na mnie jest zły, tylko na życie w ogóle. Chcę mu pomóc, ale najpierw muszę go zrozumieć.
- Obaj mężczyźni stali ze spuszczoneymi głowami, wpatrzeni w czubki swoich butów. - Może wy mi coś podpowiecie?
- On ją znalazł pierwszy - odezwał się za nią jakiś chrapliwy głos.

Savanna odwróciła się i zobaczyła stojącego w cieniu staro Indianina.

- Mów dalej, proszę.
- Tak się złożyło, że Max dużo czasu spędzał poza domem. Ryder tego nie rozumiał.
- Nic dziwnego - mruknął Shane, który w tej sprawie chyba podzielał uczucia brata.
- Ja rozumiałem. - Josh stanął przed Shane'em i spojrzął; mu prosto w oczy. - Jest lekarzem, na miłość boską! Ludzie go potrzebują. Czasami tylko on może ocalić im życie. Nie słyszałem, żebyście się skarżyli, kiedy finansował naszą na-

ukę i zapewniał nam dostatnie życie. - Ręką wskazał dom, tajnie i całą posiadłość.

- Łatwo ci mówić! Kiedy ty się urodziłeś, ojciec bywał tu już trochę częściej. A kto był przy mnie, kiedy pierwszy raz spadłem z konia?

- Ja - wynurzył się z cienia Czarny Kruk.

- Tak, to prawda - przyznał zawstydzony Shane.

- Staralem się, jak mogłem, Shane.

- Wiem. Ale dlaczego tak było? Dlaczego jego przy mnie... przy nas nie było ?

- Na pewno nie z powodu ciebie czy twoich braci. - Indianin starał się nie patrzeć na żadnego z nich. - To przez waszą matkę.

Savanna znów przypomniła sobie słowa Maddy. Błągała w duchu Indianina, by mówił dalej.

- Była jak ranny ptak, który nie potrafi latać - ciągnął Czarny Kruk. - Trzepotała skrzydłami, ale zawsze spadała na ziemię. Montana nigdy nie stała się dla niej domem.

Wszyscy słuchali go w milczeniu. Nawet ze stajni nie dobiegało rzenie i parskanie koni.

- Christina była piękną, ale rozpieszczoną kobietą. Najpierw przez swoją bogatą rodzinę, potem przez Maksa. Siadywała sobie na werandzie i płakała. Myślała, że nikt jej nie słyszy. Ja słyszałem.

Stary Indianin chyba po raz pierwszy w życiu wypowiedział tyle słów naraz. Czuł, że ma do spełnienia ważną misję, i nic nie było w stanie go powstrzymać.

- Czasami w takich chwilach rozmawiała ze mną. Mówiła o tym, co ją boli.

- Chodziło o inne kobiety w życiu ojca? - Pierwszy odważył się powiedzieć to głośno Shane.

- Tak. I o innych mężczyzn, z którymi ona się spotykała.

- Nie! - krzyknął, podbiegając do niego, Josh. - Kłamiesz.

- On mówi prawdę. - Shane wystąpił naprzód i z uwagą wpatrywał się w oczy Indianina.

W tym spojrzeniu było tyle miłości i zaufania, że Savanna odwróciła wzrok. To było więcej, niż chciała się dowiedzieć. Kiedy zaczynała swoje śledztwo, nie zamierzała nikogo zranić. Teraz jednak czuła, że nie ma już odwrotu. Musi poznać prawdę. Całą prawdę.

- Dlaczego nam to mówisz, nawet jeśli to prawda? - nie rezygnował Josh.

- Ryder musi wiedzieć.

- Dlaczego? - Josh chwycił Indianina za kłapy kamizelki. - Dlaczego to wszystko musiało wyjść na jaw?

- Ryder wini ojca za śmierć waszej matki - wyjaśnił spokojnie Indianin. - Wciąż uważa ją za niewinną, a ojca za łajdaka.

- Mów dalej. - Teraz już i Shane chciał wiedzieć wszystko.

- Max nigdy nie mówił o waszej matce źle. Nigdy nie wspominał o jej zdradach. Wybaczył jej i spróbował ratować swoje małżeństwo. Niewielu mężczyzn by się na to zdobyło.

Kiedy zamilkł, Savanna myślała, że to już koniec. Miała już wszystkie elementy układanki. Potem razem z Jenny na pewno uda im się ułożyć je w całość. Jednak Indianin po chwili wznowił swą opowieść.

- Nawet kiedy podcięła sobie żyły i wykrwawiła się na śmierć, Max milczał.

- Dlaczego?

Odpowiedział mu Shane. On pierwszy zrozumiał zachowanie ojca.

- Nie mógł powiedzieć nam prawdy, bo chciał, byśmy

zachowali o niej dobre wspomnienia. Wolał, byśmy raczej myśleli źle o nim niż o niej.

- Tak. - Indianin uśmiechnął się. Kiedy znów zapadło milczenie, Savanna uznała, że teraz jej kolej. Jeszcze nie wszystko zostało wyjaśnione.

- Powiedziałaś, że to Ryder znalazł Christine - zwróciła się do Indianina.

Stary człowiek na długo zamknął oczy. Czyżby zignorował jej pytanie? Nie.

- Ryder kochał swoją matkę. Codziennie to on pierwszy wracał ze szkoły do domu. Często spacerowali razem po polach i rozmawiali o różnych rzeczach. Nie wiem, o czym. Ale wtedy oboje wydawali się szczęśliwi. Zazwyczaj matka witała go w progu. Często widywałem, jak całowała go w policzek. Tego dnia nie dostrzegłem jej w progu. Wszedł do środka. - Indianin znów zamknął oczy i nie otworzył ich aż do końca swojej opowieści. Shane podtrzymał go za ramię. - Usłyszałem wycie. Z początku myślałem, że to kojot, ale dźwięk dochodził z domu. Pobiegłem tam. Mały Ryder mówił coś do telefonu, a potem spojrzał na swoje ręce całe we krwi. Poszedłem za nim do tego pokoju. Ona była już zimna. Do dziś tego nie rozumiem. - Twarz Indianina była teraz szara i zacięta. - Dlaczego to nie Max ją znalazł? Albo ja? Dlaczego to był Ryder, który tak bardzo ją kochał? Może pod koniec jej dusza była już tak chora, że Christina nie zastanawiała się, kto pierwszy ją znajdzie, kto będzie cierpieł najbardziej.

Indianin otworzył oczy i spojrzał na nich nie widzącym wzrokiem. Odwrócił się i bez słowa poszedł do swojej chaty. Chwilę potem udał się za nim Shane.

Josh jeszcze długo wpatrywał się w czubki swoich butów. Kiedy w końcu się odezwał, zdawało się, że mówi tylko do siebie.

- Jakie to dziwne, że w tak różny sposób pamiętamy te same rzeczy. Nigdy nie winiłem ojca za śmierć mamy. Zawsze myślałem, że cierpiała na depresję i pewnego dnia stwierdziła, że dłużej tego nie znieś. Uważałem ją za chorą i nikogo za to nie winiłem. Wszyscy ją kochaliśmy. Naprawdę. Wierzycie mi?

Nie czekał na odpowiedź. Po chwili zamknęły się za nim wrota stajni.

Savanna i Jenny jeszcze długo stały w milczeniu, przytulone do siebie. W końcu, kiedy było już zupełnie ciemno, także i one wróciły do domu.

W deszczowy poniedziałek przybycie Rydera z Billym nie rozweseliło ponurego poranka. Chłopiec jak w transie wnosił do swojego nowego pokoju pudło po pudle. Jeśli w holu natknął się na kogoś, mijał go ze spuszczonej oczami. Savanna chciała mu pomóc, ale Ryder dał jej do zrozumienia, że sami znakomicie sobie poradzą. Trzymała się więc na uboczu. Do czasu.

W porze obiadowej, ignorując Jenny i od czasu do czasu spoglądając groźnie na Savannę, Ryder zrobił Billy'emu kanapki i sam zaniósł je małemu.

W porze kolacji Savanna już kipiała ze złości. Wiedziała, że muszą porozmawiać, i nie miała zamiaru dłużej czekać. Owszem, Ryder miał prawo być na nią zły. Wkrótce jednak zrozumie powody jej zachowania, może nawet uzna, że było to jedyne wyjście. Gdyby na początku powiedziała mu, że jest Savanną, może nigdy nie dostrzegłby w niej kogoś więcej niż tylko przyjaciółkę z dawnych lat.

A ona chciała czegoś więcej. Zawsze. I teraz też była pewna, że i on tego chce. Gdyby tylko udało jej się przebić przez jego upartą dumę i sprawić, by zrozumiał prawdziwą

przyczynę swego cierpienia. Jak jednak miała to zrobić, nie oczerniając przy tym jego matki? Pamiętała ból, jaki wczoraj widziała na twarzach Josha i Shane'a. Chciała zaoszczędzić Ryderowi tego typu doznań.

Kiedy pozmywały naczynia, Savanna zaczęła nerwowo spacerować po kuchni.

- Jenny, Jenny, jak ja mam to zrobić? Nie mogę przecież tak po prostu powiedzieć mu, że jego matka wcale nie była taka święta, za jaką ją zawsze uważał. Fakt, że była niewierna, nie usprawiedliwia jeszcze tego, że i Max nie stronił od skoków w bok.

- Nie, ale trochę wyrównuje rachunki. Może kiedy Ryder pozna prawdę, spojrzy inaczej na stosunki panujące między rodzicami. I z pewnością będzie musiał zmienić opinię o ojcu.

- Ale skoro Max przez tyle lat nie potrafił mu powiedzieć prawdy o matce, to jak mogę to zrobić ja, Jen?

- Tak, masz rację - powiedziała Jenny. - Najlepiej, żeby Ryder nosił w sobie swój gniew aż do śmierci i żebyście nigdy się nie zeszli, co, oczywiście, oznacza, że Billy będzie miał ponurego ojca z zadną w sercu i żadnej szansy na macochę.

- Wiesz co? Ty mnie czasami naprawdę wkurzasz!

- Tak, wiem. Szczególnie jeśli mam rację - roześmiała się Jenny.

Savanna przerwała wędrowkę po kuchni i głośno westchnęła.

- Dobrze, dobrze! Porozmawiam z nim. Nie wiem jeszcze, co konkretnie mu powiem, ale spróbuję.

Jenny stanęła obok niej i oparła się o blat.

- O raju, czy wyobrażasz sobie, jakie po tym wszystkim będzie nudne robienie kanapek w Detroit!

- To nie wracaj tam. Jestem pewna, że Max się zgodzi, byś na stałe zajęła się kuchnią.

- Eee tam! - mruknęła Jenny i ruszyła na górę. - Wy z Hanną znakomicie dajecie sobie radę. Max był bardzo szlachetny, że mi zapłacił, ale trzy kobiety na liście płac to na pewno przesada.

- Nie bądź taka pewna. - Idąc za nią po schodach, Savanna ani myślała rezygnować. - Hanna jest coraz słabsza. Zresztą, jak sama twierdzi, woli sprzątanie. A ja chętniej spędzę siedem dni w gabinecie Maksa niż jeden w kuchni. Zostań, Jen, proszę.

Przystanąły na podeście i tam kontynuowały rozmowę.

- Mam zamówienia na kilka wesel, a mieszkanie opłacałam za kilka miesięcy z góry.

- Możesz je komuś podjąć. Jeśli mnie uda się z Ryderem, będziesz mogła wziąć mój pokój. Albo Shane'a. On i tak z niego nie korzysta.

- Od kiedy jesteś taka zdecydowana, przyjaciółko? - zaśmiała się Jenny.

- Od dwudziestu czterech godzin. Od kiedy postanowiłam, że zdobędę to, czego pragnę.

- A, właśnie! Patrz. - Jenny wyjrzała przez maleńkie okienko wychodzące na podwórze. Deszcz wreszcie przestał padać i Ryder siedział na huśtawce, gapiąc się w niebo. - Kuj żelazo, póki gorące!

- Zgoda, ale nie myśl, że to koniec naszej rozmowy.

- Jasne. Pogadamy później. A teraz ruszaj. \

Idąc wąską, ceglana ścieżką prowadzącą w stronę huśtawki, Savanna starała się stąpać prawie bezgłośnie, ale Ryder usłyszał ją i obrzucił bynajmniej nie zapraszającym spojrzeniem.

- Czego chcesz?
- Porozmawiać.
- Już nie ma o czym.

Savanna ścierką wytarła huśtawkę i usiadła na niej, jednak wystarczająco daleko od Rydera.

- Rozmawiałam wczoraj z twoimi braćmi i z Czarnym Krukiem. Dowiedziałam się kilku rzeczy, o których ty też powinieneś wiedzieć.

- Co takiego?! - wrzasnął Ryder i zerwał się na równe nogi.

Savanna, choć z trudem, wytrzymała jego pełne wściekłości spojrzenie.

- Chciałam zrozumieć, czemu ciągle tyle w tobie złości i gniewu.

- A jakie ty masz prawo, żeby...

- Kocham cię, Ryder - odparła cicho. - Oto moje prawo.

Ryder wciąż ciężko oddychał, ale już nie dyskutował. Siedział w milczeniu, z odwróconą twarzą.

- Proszę cię, wysłuchaj mnie. Jeśli nie spodoba ci się to, co powiem, już nigdy do tego nie wrócimy. Ja tylko...

- No, dobrze. Mów.

W pewnym sensie łatwiej było mówić do niego, gdy był odwrócony.

- Odkąd cię znam, zawsze za wszystko winiłeś swego ojca, łącznie ze śmiercią matki. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, czemu Max tak dużo czasu spędza poza domem?

- Nie musiałem się zastanawiać - burknął Ryder. - Ann Arbor to wesołe miasto. Nie trzeba było być jasnowidzem, żeby się tego domyślić. Kolejne kłamstwa i zdrady.

- Ale przedtem? Czy kiedyś pomyślałeś, że może twoja mama...

- Co ty wygadujesz? - Ryder w końcu odwrócił się w jej stronę.

Savanna dzielnie wytrzymała jego pełne furii spojrzenie.

- Wiem, że bardzo kochałeś swoją matkę, ale kiedy małżeństwo się rozpada, to rzadko winna jest tylko jedna strona.

Nie miała ochoty mówić mu o niewierności jego matki, ale wiedziała, że to jedyne wyjście.

Znała już odpowiedź na pytanie, które za chwilę miała mu postawić, wiedziała jednak, że musi je zadać. Teraz albo nigdy. Miała tylko nadzieję, że on usłyszy miłość w jej głosie.

- Ryder, dlaczego jesteś taki zły na swoją matkę?

Ignorując jej pytanie, Ryder zerwał się z huśtawki i ruszył w stronę domu.

Savanna pobiegła za nim.

- Kruk powiedział mi, że to ty ją znalazłeś. Wiem, jak bardzo musiało cię to zboleć. Pewnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - Ryder odwrócił się i na moment chwycił ją za ramiona. Potem zaczął szybko wbiegać po schodach.

- Proszę cię, pomyśl o tym. Jeśli nie dla własnego dobra, to zrób to przynajmniej dla Billy'ego.

- Synu, chodź szybko! Potrzebuję twojej pomocy. - W korytarzu pojawił się bardzo zdenerwowany Max. - Właśnie przywieźli mi faceta ze złamaną ręką.

- Muszę zająć się Billym - mruknął Ryder, otwierając drzwi do swego pokoju.

- To zajmie tylko chwilę. Mój pacjent jest trochę podпиты i trzeba go przytrzymać.

- Pomóż ojcu, Ryder - wtrąciła się Savanna. - Ja chętnie posiedzę z małym.

Ryder, choć jeszcze się wahał, powlókł się za Maksem.

Savanna weszła do pokoju Billy'ego i rozejrzała się dookoła. Wszędzie stały pootwierane pudła i walizki, ale ich właściciela nie było widać. Z kąta dobiegł ją cichutki płacz. Chłopiec siedział wciśnięty między ścianę i łóżko. Kiedy podeszła bliżej, spojrzał na nią pełnymi łez oczami.

- Słyszałem, jak kłóciliście się z Ryderem.
- Tak, Billy, ale...
- O mnie, prawda?
- Słoneczko moje. - Savanna uklękła obok niego i przytuliła go do siebie. - Jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy?
- Przecież wiesz - wyjąkał mały, unikając jej spojrzenia.
- Nie, Billy, nie wiem. Więc mi powiedz.
- Często słyszałem, jak ludzie się ze mnie śmieją i jak mnie nazywają Burdelowym Billym.

Savanna ujęła w dłonie jego twarz i zmusiła go, by na nią spojrzał.

- Zabraniam ci tak mówić, młody człowieku. Nazywasz się Billy Malone, teraz i na zawsze.
- Ja... nie wiedziałem, co to znaczy... ale czułem, że to coś brzydkiego - szlochał mały.

- W tej chwili przestań płakać. - Savanna potrząsnęła nim delikatnie. - To naprawdę nieważne, jak ludzie cię nazywali. Liczy się tylko to, kim jesteś tutaj - powiedziała i palcem popukała lekko w okolice jego serca. -I tutaj - teraz jej palec powędrował na czoło chłopca.

Billy przez chwilę badawczo patrzył jej w oczy. Potem wziął ją za rękę, a ona przytuliła go do siebie.

- Naprawdę? Naprawdę nie kłóciliście się o mnie? O to, że nie chcesz, żebym tu mieszkał?

- Billy Malone, zakazuję ci nawet tak myśleć. Jesteśmy dumni, że jesteś tu z nami. Ryder wcale nie musiał cię adoptować. Zrobił to, bo chciał. - Savanna jeszcze raz mocno go uścisnęła, a potem pomogła mu wstać. - A teraz wiesz co? Zrobimy mu niespodziankę i posprzątamy ten pokój. Ja poukładam ubrania, a ty poustawiasz zabawki i rozwieszisz plakaty. Zgoda?

- Zgoda - wyjąkał nieśmiało Billy.

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ryder trzymał mocno wrywającego się pacjenta i przyglądał się, jak jego ojciec wprawnie zajmuje się złamaną ręką mężczyzny.

W pewnej chwili ich spojrzenia się spotkały.

- O co chodzi, Ryder? Widzę, że coś cię gnębi.

Ryder postanowił od razu przejść do rzeczy.

- Mam kilka pytań i chcę, żebyś na nie szczerze odpowiedział.

- Dobrze, postaram się.

- Czy zdradziłeś kiedyś mamę?

Max spojrzał synowi prosto w oczy.

- Tak.

- Czy... czy to było... w Purpurowym Pałacu? - Nie był w stanie wymówić imienia Maddy.

- Nie, Ryder. Owszem, bywałem tam czasami, ale tylko towarzysko. Żeby napić się, pożartować. Przy tych dziewczynach zapomniałem o wszystkich kłopotach.

- A więc z kim?

Max przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Kiedy wykładałem w Ann Arbor, poznałem tam pewną pielęgniarkę. To nie był przelotny romans. Bardzo ją kochałem.

- Więc dlaczego nie odszedłeś od mamy, żeby być z tą, tą pielęgniarką?

- Bo miałem żonę i synów, którym byłem bardziej potrzebny.

W jego słowach nie było ani krzty wahania. Tylko jego oczy powiedziały Ryderowi, jak bolesna musiała to być decyzja.

- Czy mama wiedziała?

- Nie. W każdym razie ja jej nie powiedziałem. Czy się domyślała, tego się nigdy nie dowiemy. Ale nasze problemy zaczęły się dużo wcześniej. Wasza mama nigdy nie czuła się tu dobrze. Tęskniła za miastem, zakupami, przyjęciami. Chciała, abym sprzedał rancho i żebyśmy przenieśli się do Denver, bliżej jej rodziny. Jak teraz na to patrzę, to myślę, że może rzeczywiście powinniśmy zamieszkać w Denver.

- Tato? - Ryder z wysiłkiem przełknął ślinę. - Przed Ann Arbor... Czy mama cię zdradzała?

Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy Max odwrócił wzrok.

- Nigdy nie powiedziałem złego słowa o waszej matce, Ryder. Teraz też nie chcę tego robić. To było tak dawno. Dajmy sobie z tym spokój, dobrze?

Ryder poczuł się nagle niezwykle zmęczony. Jego złość i gniew, pielęgnowane przez tyle lat, wyparowały.

Czuł, że powinien coś powiedzieć. Ale co? Czy nie jest za późno, by zacząć wszystko od nowa? Czy będzie potrafił odbudować swoje stosunki z ojcem? Czy zdobędzie się wobec niego na cieplejsze uczucia, zapomni o urazach i nienawiści?

- Ryder, masz syna, którego musisz wychować. Może nie będzie to twoje jedyne dziecko. - Max chrząknął i spuścił wzrok. - Życzę ci z całego serca, żebyś umiał się nimi cieszyć i kochać je naprawdę.

Leżący na stole pacjent jęknął z bólu, ale żaden z nich nie zwrócił na to uwagi.

- Nie wiem, co powiedzieć, tato.

Max uśmiechnął się i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie spiesz się. Ja się nigdzie nie wybieram. A ty?

Ryder spojrzał głęboko w oczy człowieka, którego przez tyle lat nienawdził. Albo jego ojciec się zmienił, albo, co wydawało się bardziej prawdopodobne, jego średni syn narazie wydorósł.

- Ja też nie.

Max wrócił do pacjenta, a Ryder jeszcze długo stał w gabinecie. Myślał o ojcu, o Billym i o Savannie.

W końcu powłókł się w stronę pokoju swego syna. Już z daleka usłyszał dobiegające stamtąd śmiechy i piski. Kiedy stanął w drzwiach, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pudła i walizki zniknęły, na ścianach wisiały plakaty, a jedyną rzeczą nie na miejscu było dwoje szaleńców, rzucających w siebie poduszkami.

Dopiero kiedy usłyszeli jego chrząknięcie, przerwali bitwę.

- Podoba ci się mój pokój? - Zarumieniony i spocony Billy rzucił się Ryderowi w ramiona.

- Jest naprawdę super.

Chłopiec przez chwilę wyraźnie zmagął się z jakąś myślą.

- Czy mógłbym mówić do ciebie... tato?

Te słowa dziecka zupełnie rozbroiły Rydera. To był wyjątkowy dzień. Najpierw rozmowa z ojcem, teraz Billy. Została jeszcze Savanna.

- A chciałbyś?

- Tak, tato.

Ryder na moment musiał spuścić oczy. Kiedy znów je podniósł, napotkał jeszcze jedno pełne miłości spojrzenie. Runął ostatni mur, oddzielający go od świata. I sprawiła to właśnie ta kobieta. Uśmiechnął się do niej i wypowiedział

bezglęśnie: dziękuję. Odpowiedziała mu promiennym, pełnym ufności spojrzeniem. Gdyby nie obecność Billy'ego, natychmiast wzięłby ją w ramiona i wyznał, co do niej czuje. Wiedział jednak, że teraz nie musi się już spieszyć.

- Pora myć zęby i spać - zwrócił się do syna.
- Dobrze, tato. Ale poczytasz mi przed snem?
- Oczywiście.

- Wyglądasz, jakbyś wygrała los na loterii! - zaśmiała się Jenny, kiedy Savanna, trzymając coś za plecami, weszła do ich pokoju.

- Chyba możemy sobie zrobić święto - rzekła i pokazała przyjaciółce butelkę wina oraz kieliszki.

- A za co będziemy pić?
- Za życie.
- Ty to masz pomysły!
- I kto to mówi! Będzie mi ciebie brakowało, ty wariatko - dodała, kiedy stukały się kieliszkami.
- A kto mówi, że ja się gdzieś wybieram?
- Przecież w sobotę wracasz do domu, zgadza się?
- Owszem, ale nie musisz okazywać, jak bardzo się z tego cieszysz.

- Przecież wiem, że jedziesz tylko po to, żeby załatwić kilka spraw.

Jenny nie zaprzeczyła.

- To jeszcze nie jest takie pewne. Max powiedział, że skoro chcę, to mogę tu pracować. Ej, ej, czuję, że coś się stało! Mów szybko.

- Och, Jen! To był cudowny dzień.
- No, Bogu dzięki, po tym, jak Ryder zachował się na huśtawce. O, *pardon!* Niestety, podglądałam.

Savanna wybuchnęła śmiechem. Nie była w stanie gniewać się na Jenny.

- Owszem, wieczór zaczął się nie najlepiej, ale za to potem...

- Poważnie?

- Chyba wszystko między mną i Ryderem dobrze się ułoży. Może nawet będzie wspaniale. Pewnie nie od razu przebaczy mi moje małe oszustwo, ale czuję, że mimo wszystko Ryder mnie kocha. No i jeszcze Billy. Mały jest taki szczęśliwy...

Leżąc w łóżku, Savanna jeszcze długo nie mogła zasnąć. Wsłuchiwała się w rytmiczny oddech przyjaciółki. Dopiero dziś zdała sobie sprawę, jak bardzo jej własne szczęście zależało od Jenny i innych ludzi.

Teraz to już się skończyło. Poczowała w sobie nowy spokój. Po raz pierwszy w życiu cieszyła się, że jest tym, kim jest. Cieszyłaby się bardzo, gdyby Jenny zamieszkała u Malone'ów. Byłaby szczęśliwa, gdyby Ryder się z nią ożenił. Ale wiedziała już, że i bez tego da sobie radę. Ta świadomość dodała jej ogromnej siły.

Kiedy w końcu zasnęła, na jej twarzy malował się spokojny, szczęśliwy uśmiech.

Co wieczór, kiedy senny Billy wysłuchiwał już swojej bajki i zasnął, Ryder i Savanna siadywali na huśtawce w ogrodzie. Wspominali szkolne czasy, patrzyli w gwiazdy albo tylko wsłuchiwali się w nocne odgłosy natury.

Ryder opowiedział jej już o swej rozmowie z Maksem i nawet o matce. Savanna już dawno uzyskała wybaczenie za swoje oszustwo i zobowiązała się do całkowitej szczerości. Czuła jednak, że Ryder jeszcze nie do końca się z tym pogo-

dził i tylko dlatego do tej pory nie porusza tematu małżeństwa.

- Czy ty mi nigdy tego nie wybaczysz? - spytała kiedyś, wtulając się w jego ramię.

- Bo ja wiem? Chyba, że odkupisz to pocałunkami.

- Takimi?

Kiedy przywarła wargami do jego ust, natychmiast zapomniała, że to przekomarzania.

Następnego ranka po śniadaniu Savanna wypchnęła Jenny z kuchni. Uznała, że przyjaciółka powinna lepiej wykorzystać czas, który jej jeszcze pozostał do odjazdu.

Właśnie skończyła myć kuchenny blat, kiedy Ryder niespodziewanie chwycił ją w pasie i obrócił ku sobie.

- Kocham cię dziś rano - szepnął, całując czubek jej nosa.

- To dobrze. Bo ja też dziś cię kocham. - Savanna odsunęła się od niego i przechyliła głowę. - Widzę, że lubisz, długoterminowe zobowiązania.

- Czyżbyś domagała się czegoś?

- Ja?

- Chyba powinienem poprosić cię o rękę, zanim Jenny wyjedzie, żebyś mogła osobiście jej o tym powiedzieć.

Savanna z coraz większym trudem kontynuowała grę. Zresztą czy była to jeszcze gra?

- Savanno Smith, czy wyjdiesz za mnie? - Ryder przyklęknął na jedno kolano i ujął jej dłoń.

W tej chwili do kuchni wtoczyła się Hanna. Na ten widok stanęła jak wryta.

- No, no! Myślałam, że już nigdy się tego nie doczekam. Ale czy to oznacza, że nie mogę pójść na emeryturę, bo nasza Essie, to znaczy Savanna, wykończy nas swoim gotowaniem?

- Nie będzie tak źle. Przez parę tygodni będziemy żyli mrożonkami, ale potem wróci Jenny. Tak przynajmniej obiecała.

- Bogu dzięki - westchnęła Hanna. - No to nie przeszkadzam.

Kiedy zostali sami i Ryder wziął Savannę w ramiona, do kuchni, dla odmiany, wpadł Billy, a za nim Max.

Starszy Malone na szczęście szybko dokonał prawidłowej oceny sytuacji.

- Chodź, Billy, musimy jeszcze zajrzeć do twojego kuca - rzekł.

- Dobrze... dziadku. Czy... czy mogę tak mówić? - spytał nieśmiało Billy.

Max, zanim odpowiedział małemu, spojrzał na Rydera.

- To będzie dla mnie zaszczyt - odparł.

Ryder odwzajemnił uśmiech ojca.

Savanna zamknęła oczy i podziękowała Bogu za tę wspa-
niałą wiosnę i cuda, jakie ze sobą przyniosła. Za odrodzoną
miłość - nie tylko między nią i Ryderem, ale także między
ojcem i synem. I za Billy'ego, dzięki któremu tak wiele do-
wiedziała się o sobie samej.